

Wyprawa

Marcin Piotrowski

Pociąg był z tych wiozących, zdaje się, do nikąd. No bo gdzież by mógł frunąć taki przedziwny, trzywagonowy skład ze starą lokomotywą w czasach tych, w latach tych, gdzie tylko toczą się i hałasują ekspresowe i pośpieszne pociągi. Skład sunął majestatycznie i unosił nas prosto w Twoje ramiona Sosenko. Mnie i Radka.

W otwartych na szeroką oścież drzwiach siedzieliśmy wygodnie i majtaliśmy wesoło ciężko obutymi nogami. Umykała w dole przytorowa, przykolejowa rzeka kamieni, kęp traw i patyków, zlewając się w jeden migający ciąg. Natomiast przed oczami, twarzą w twarz, oko w oko, był widok. Widok nad widoki – szeregi biegnących drzew, zielonych, soczystych i świeżych, splatających się z błękitnymi spojrzzeniami wód. Dostąpiliśmy zaszczytu patrzenia. A wewnątrz gdzieś, w środku zielonego odmětu sukienka Twoja migiała czasami.

Słońce stało jeszcze wysoko i parzyło czerwcowo. To, co spostrzegłem już dawno, znowu się potwierdzało – otóż pociąg nasz, niewielki trzywagonowy skład, nie odcinał się wcale od okolicy, nie zakłócał odwiecznego porządku. Był bezdyskusyjnym elementem tej natchnionej chwili. Był atrakcją dla leśnego, taką samą jak, na przykład, koń z wozem dla miejskiego. Drzewa przyglądały mu się pobłażliwie i dobrodusznie, przyjaźnie nawet. A w spojrzeniach tych Twoje oczy zakochane widziałem Sosenko.

Bo nie jest wcale tak źle, jak twierdzą liczni, domowi najczęściej podróżnicy, z owymi pomieszanyymi motywami cywilizacji i natury. Mówią,

że jedno albo drugie, albo las albo fabryka. To jest wielka obelga dla prawdziwości chwili. W terenie jest inaczej. Ci co tak twierdzą, chyba nigdy nie dźwigali baniek z mlekiem na wóz albo nie kosili zboża błyszczącą kosą, nie kręcili młockarnią albo nie ciągnęli żurawiem wody ze studni, nie jechali koślawym PKS-em i nie pomagali go potem pchać pod stromą, oblodzoną górę, nie jechali trzywagonowym składem wśród skąpanych w słońcu i błękitie świętych drzew leśnych wprost w objęcia Sosenki. Tak mi się wydaje.

Jechaliśmy zatem pośród czerwcowych promieni słonecznych, pośród odbłasków zielononiebieskich, siedząc między przedziałami, obok suwanych drzwi, w tym miejscu, gdzie na ogół ludzie stawiają rowery i gdzie wychodzi się na papierocha. Tobały trzymaliśmy przy sobie. Stały oparte o ścianę i były w razie czego pod ręką – dwa plecaki, nie za wielkie oczywiście, zwyczajne, na stelażach, oszczędnie wypakowane – jak to na wyprawie. Nie odzywaliśmy się z Radkiem ani słowem. Nie było tej potrzeby. Tak to się zdarza w momentach tych. Najczęściej natchnionych. Słowo nie przystoi, nie pasuje jak wulgarny śpiew. Toteż milczeliśmy i obserwowaliśmy. Trzeba być uważnym, czasem można zobaczyć dużo więcej niż się wydaje. Wtedy duszy robi się gorąco.

Chłonęliśmy widoki. Karuzela krajobrazów kręciła na pełnych obrotach. Dokonywała się jedność zmian.

W pociągu oprócz nas podróżowało niewiele osób. Wszystko okoliczni tubylcy. Może ze trzech pracowników wiejsko-miejskich, kilka gadających bab, tajemniczy milczący, dziewczyna młoda ale niepiękna i jeszcze ten i ów. Nadszedł akurat moment, kiedy przestaliśmy być zauważalni. Bo wcześniej oczywiście lustrowano nas dokładnie. Powoli tubylcy zaczęli uważać mnie i Radka za rzecz tak normalną i oczywistą w pociągu jak hamulec bezpieczeństwa czy poręcz. I bardzo dobrze. Tak jest najlepiej. Rzadka to i szczególna chwila kiedy jest się niewidzialnym. Bez skrępowania więc pluliśmy do migającej, przykolejowej rzeki, majtaliśmy nogami i paliliśmy papierosy.

Lokomotywa gwizdała czasami pogodnie wzywając jakby na zew. Każdy kto kocha pociągi wie o czym mówię. Nie raz chodziłem nad tory i siadałem na nasypie po to tylko, żeby popatrzeć jak pędzą. Ileż to razy w ciemne, jesienne dni wsiadałem na dworcu do podstawionego wagonu po to tylko aby pomarzyć, aby wyobrazić sobie, że jadę. Gwizd pociągu to jak wołanie drogiego przyjaciela. Jakaś magia, siła, metafizyka czai się w owej kupie blachy. Czasem gładziłem ręką tę blachę i potem cieszyłem się, że gdzieś daleko po Polsce jedzie miejsce, które przed chwilą dotykałem.

Lokomotywa przypominała też gwizdaniem, że pociąg zatrzyma się kiedyś, że nie będzie jechał bez przerwy, ale wtedy, kiedy ścigaliśmy się z czerwcowym słońcem zapomnieliśmy o tej konieczności. Ulegliśmy chwili. Pokonała nas cudowna pociągowa chwila. Wydawało się, że fruniemy, pociąg nie dotyka torów, nie dudni lecz śpiewa. Niewypowiedziane było. Chciałem, żeby trwało tak wiecznie.



Wieś nazywała się Źródlika. Tutaj wysiedliśmy. Tutaj był kres mechanicznej wojaży. Odtąd zaczynała się właściwa część wyprawy. Odtąd tylko własne nogi mogły nas nieść. I myśli błogie oczywiście. Tak więc od tego momentu powinna rozpoczynać się moja opowieść.

Byliśmy z Radkiem na wyprawie. Nie na żadnej tam wycieczce czy przechadzce. Byliśmy na prawdziwej wyprawie. Szerokie to pojęcie i niełatwo je wytłumaczyć. I wiem też, że niekoniecznie trzeba przejść Karakorum, żeby je zrozumieć.

Szliśmy. Najpierw brukowaną kocimi łbami drogą wzdłuż torów, potem piaszczystym duktem. Minęliśmy budkę kolejową z napisem Źródlika i podążaliśmy w kierunku wsi właściwej. Las przeredził się nieco odsłaniając większe polany. W okolicy oprócz naszych kroczących dwóch żywych ciał nie było widać nikogo. Znajomy ciężar plecaka w tej chwili był dla mnie jeszcze przyjemny. Ale do czasu. Dobrze o tym wiem, że do czasu. Potem jest bardzo różnie z tym ciężarem, jak w bajce o złośliwym staruchu, którego nieszczęśnik musi nosić na grzbiecie do końca życia. Tak. Ale w plecaku są niezbędne, cudowne rzeczy. Jest śpiwór, hamak, pałatka, menażki, kompas, mapa, żarcie, trochę ciuchów, zapaliki, świeczki, łyżka, kubek, manierka, nóż, szczotka, grzebień, coś do picia. Mniej więcej to wszystko. Czasami coś jeszcze, w zależności od potrzeb.

Szliśmy. Teraz już drogą asfaltową powoli zbliżając się do pierwszych zabudowań. Wieża kościoła wylaniała się zza drzew. Rosła z każdym naszym krokiem. Polany przeredzały się w regularne pola. Po prawej stronie, las uciekł nagle po horyzont. Ustąpił w popłochu miejsca innej potędze. Na polach królowało zboże. Żółto i zielono stało dookoła, zupełnie jak we śnie. Ale to nie był sen, to była jawa. My za to szliśmy jak we śnie. Słońce powoli chyliło się ku ziemi, rozumiejąc, że jak co wieczór trzeba jej paść do stóp. Cisza panoszyła się dookoła. Mościła się gdzie popadło. Czasem wietrzny powiew wyganiał ją z łąki lub jakiś ptak śpiewem przepędzał z drzew. Stukanie naszych butów na drodze wyrażnie ją denerwowało.

– Zejdźmy na papierosa – powiedziałem.

Przeskoczyliśmy rów i usiedliśmy na trawie pod drzewem. Zapach lata czuło się wszystkim. Dosłownie. Wcisnął się do nosa, do oczu, do turlowia, do serca.

Radek poczęstował “mocnymi”. Palilem lekko mrużąc oczy – za bardzo błyszcząły. Wyciągnąłem się na trawie jak długi, frontalnie, bezwładnie i błogo. Miałem przed sobą morze błękitu. Czasami migała biała grzywa fali. Lecz był to już inny kolor nieba niż w południe czy rano. Był ciemniejszy, bardziej przedwieczorny. Bliżej horyzontu widać było już tęczową granicę, od fioletu przez granat, potem niebiesko, jaśniej trochę i ... oczy trzeba odwrócić od słonecznego oblicza. Tutaj słońce jest większym demonem.

Zdaje się, że podstępna cisza zastawiła pułapkę. Przestałem nagle słyszeć bicie własnego serca. Podstępnie wlała się do uszu, ust i nosa. Zaczęła mnie bandażować sobą i namaszczać wonnymi olejkami. Pobliską, pokątną kępę drzew zamieniła w piramidę a niebo w pustynię. Z oparów wywabiał mnie Radek.

– Słuchaj, czy to nie cmentarz?

Jakbym się obudził. Zamrugałem oczami. Chyba spadłem na ziemię, pod drzewo – pomyślałem.

– Podobno jest ich tu w okolicy kilka. Tak czytałem – mówił.

– Może być, czemu nie. Stary cmentarz. – zdążyłem już wrócić do normy. Odwróciłem się i przyjrzałem dokładnie topografii. Wokół rzeczywiście panowało coś z nekropolii.

– Idziemy?

Dawno temu na cmentarz prowadziła ładna droga, bity dukt obsadzony po obu stronach smukłymi topolami. Brama, porządna, misterna, kowalska robota, zapewne lekko była uchylona i tuż za nią ciągnęły się zastępy białych, marmurowych lub biedniejszych, ziemnych nagrobków, mnóstwo krzyży, czasami znicz lub świece, kwiaty, zadbane drzewka, grządki i krzewy.

– Nie widziałem jeszcze martwego cmentarza – powiedział Radek kiedy wkraczaliśmy w obręb.

Zgrabne parkowe drzewka splotły się ze sobą w śmiertelnym uścisku tworząc upiorny, mroczny baldachim. Smukłe kiedyś topole zamieniły się teraz w drzewa starce pomarszczone od piorunów i wiatrów. Wielki, naturalny grobowiec – jak piramida. Kowalska robota w zardzewiałych, trupich szczątkach sterczała zza gąszczu cmentarnych krzewów. Kilka krzyży trwało samotnie niczym na straży porządku. Ich towarzysze leżeli dookoła jak na pobitewnym polu.

– Brakuje kołujących kruków – zauważyłem.

Kiedyś rośliny ozdobne, w tej chwili pazerne zielsko, czepiało się łapczywie stóp. Wszystko dookoła było martwe, najwyraźniej solidaryzowało się jednomyślnie z prawowitymi mieszkańcami tej enklawy. Oczami wyobraźni zobaczyłem karawan powoli sunący topolowa aleją, za nim tłumek szeleszczący odświętnymi ubraniami, za wozem kobieta w czerni wycierająca chustką łzy.

Weszliśmy cicho do piramidy. Drzewa zamknęły nad głowami niebo. Przedziwna sprawa, tutaj nawet cisza za nami nie przyszła. Została na zewnątrz. Byliśmy w próżni. Przeskakiwaliśmy nad zapadłymi mogiłami, odcyfrowywaliśmy napisy zatarte rękawem czasu, odtwarzaliśmy w myśli obraz sprzed lat. Małeńki grobek uchował się nad podziw dobrze. Było to miejsce spoczynku dziecka, dziewczynki. Spała głęboko od sześćdziesięciu lat. Nieprzerwanie. Bo jak mi wiadomo ostatnio nie było żadnego zmartwychwstania. Wprost przeciwnie. Pewnie tu obok, w tym miejscu gdzie my teraz stoimy i gdzie jakoś obco nam, po pogrzebie stali ojciec z matką. Pewnie przychodzili na grób codziennie, potem rzadziej, ojciec zapracowany, zmęczony, tylko ona, jak to matka, kiedy mogła szła i kładła kwiaty córeczce. I tak aż do wojennej zawieruchy. A potem, któż to wie, gdzie kogo wiatry zawiąły, w które świata strony?

Położyliśmy na mogile zaimprovizowany polny bukiet i w milczeniu wyszliśmy na topolowy dukt. To dziwne ale miejsce to, niewątpliwie ciekawe i zabytkowe w jakimś sensie, dla mnie było nie do przejścia. Nie do ogarnięcia rozumem. Jeżeli cały świat do mnie należy, ze wszystkimi okolicami oczywiście, to może z wyjątkiem właśnie takich miejsc, tajemniczych, zaklętych, ogarniętych mocą przeklętą. I choćby najpiękniejsze groby stały, ze złota szczerego wykonane i diamentów błyszczących, to mój zmysł estetyczny, który sobie cenię, nie zaakceptuje tego. Jeżeli padnę kiedyś, co nastąpi zapewne, choć taki pewny nie jestem, głowy bym sobie za to uciąć nie dał, i umrę kiedyś, to spalcie zwłoki moje na wielkim sosnowym ognisku, a prochy moje podarujcie wiatrowi i niech rozdmucha mnie na wszystkie strony świata, niech dmie i niech odda mnie lasom i jeziorom, bo z nich się począłem i do nich należę.

Wyszliśmy znowu na asfalt. Droga wpęła między domy kryte słynną czerwoną dachówką. Kościół było już widać wyraźnie. Jak zawsze w takich chwilach zaczynały nas śledzić ciekawe oczy tubylców, oczy staruszków siedzących na ławeczkach przed domami, oczy gospodyń idących na wieczorny udój, oczy gospodarzy majstrujących coś na podwórku, oczy młodzieżowe – zalotne dziewczęce i groźne chłopięce – i wreszcie, najbardziej okrągłe, oczy dzieci kroczących za nami od początku wsi. Widać musieliśmy być tutaj dość egzotycznym zjawiskiem, czasami bowiem fala zaciekawienia szybko mija, najczęściej w miejscach,

gdzie objuczony plecakiem włóczykij jest dość pospolity, w turystycznych popularnych kurortach na przykład lub na wziętych szlakach pieszych. Tutaj chyba byliśmy pierwsi, pierwsi z nieprzebranej turystycznej rzeszy, która tu jeszcze nie dotarła. Czujny wzrok wsi nas nie opuszczał. Poczulem się jak dziewiętnastowieczny podróżnik na czarnym łądzie.

– Marcin, czy wzięłeś perkal i paciorki? – usłyszałem – Może po-handlujemy z tubylcami?

– Módlmy się, żeby najpierw nas nie zjedli.

Tłumek dzieci deptał nam po piętach. Bose, brudne, trzymały nieprzekraczalny, pięciometrowy dystans. Obaj, z wypchanymi plecakami, byliśmy jak dwie wielkie góry kroczące przez wieś. Odwróciłem głowę i przemówiłem.

– Wiecie może gdzie tu jest szkoła?

To rozluźniło dzielące nas napięcie. Poważnie je zredukowało. Objawiło się to między innymi tym, że zniknęła pięciometrowa bariera. Tłumek ochoczo zaoferował przewodnicze usługi. Kilku małych trape-rów wysunęło się do przodu. Co ciekawe, jeden z nich jechał na rowerze bez siodełka. Gdyby z resztą je miał, to i tak nie skorzystałby z niego, bo wtedy nie sięgnąłby pedałów. Nieomylnie wskazując kierunek, dzieciaki doprowadziły nas do wyraźnie kulawego architektonicznie budynku. Był płaski, kanciasty, długi i prostokątny. Nie miał też pięknej, czerwonej dachówki.

– Tutaj jest nasza szkoła proszę panów.

– A czy pani albo pan dyrektor są w środku?

Pora była wakacyjna ale często na wsi przy szkole znajdują się mieszkania personelu.

– Pani dyrektor tu mieszka. Trzeba wejść od tyłu.

Oczywiście zostaliśmy zaprowadzeni. Zostawiliśmy za drzwiami spory tłumek (pewne, że będą czekać) i stanęliśmy w małej sieni. Zapukaliśmy.

– Panowie do kogo? – otworzyła nam drzwi trochę przestraszona, starsza kobieta. Spłoszony wzrok przesuwała po naszych twarzach.

– Dzień dobry – zacząłem – proszę panią, przyjechaliśmy z daleka w wasze strony z turystyczną wizytą. Piękną tu macie krainę. Jak piszą w przewodnikach – obfituje w przyrodnicze dziwy i geograficzne atrakcje.

– Właśnie. Całą noc i kawałek dnia jechaliśmy pociągiem – podjął Radek – trochę autostopem, ale głównie operowaliśmy nogami. Szlaki zaprowadziły nas tutaj, do wsi.

– Przepraszamy zatem, że niepokoiimy panią, ale jak nas uczy praktyka i doświadczenie z prośbą o nocleg zwracać się należy do ludzi z kręgu edukacyjnego.

– Może być kawałek podłogi na korytarzu.

– Oto nasze dowody. Nigdy nie byliśmy karani.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

– Możemy narąbać drzewa z kolegą albo w ogóle coś pomóc. Nadajemy się do wszystkiego.

– Plus oczywiście wkalkulowana cena pieniężna.

– Oczywiście.

– Więc co pani na to?

Dyrektor szkoły podstawowej w Źródłiskach, zmiażdżona naszą dwugłosową przemową, przenosiła wzrok ze mnie na Radka. Jak na meczu tenisowym.

– Tak... Dzień dobry, bardzo mi miło, hmm... – wyraźnie była zdezorientowana ale powoli zaczęła odzyskiwać pole. W końcu była bel-frem.

– Niestety, przykro mi bardzo, właśnie przygotowujemy się do remontu, wiedzą panowie jak to jest, nie mogę w żaden sposób, może któryś z gospodarzy...

Szliśmy. Powoli mijaliśmy ostatnie zabudowania. Dawno już minęły czasy, kiedy goszczono podróżnego. Gość w dom Bóg w dom – wytarło się jak napisy na starym cmentarzu. Nawet kościół zamyka się na noc na cztery spusty. Może po to żeby Bóg z niego nie uciekł? Właściwie to dobrze się stało, że musieliśmy do lasu. Tak, na pewno lepiej. Plan nasz zakładał, że pierwszą noc spędzimy w Źródłiskach dlatego, żeby rano, ciut świt, ruszyć natychmiast, bez marudzenia ze składaniem obozu. Ale skoro siła wyższa, to co da się zrobić? Nie pierwszy to raz i nie ostatni.

Za wsią opuścił nas dziecięcy pochód. Znowu we dwójkę szliśmy środkiem pustej, owianej ciszą drogi. Dwie milczące sylwetki z mocno już przydługimi cieniami pod rękę, to musiał być naprawdę piękny widok. Powoli wchodziliśmy do lasu. Zastępy drzew zaczęły się nam przyglądać. Nawet kiwały lekko gałęziami zapraszając, jakby mówiły – chodźcie do nas, chodźcie do domu, tu jest wasze miejsce, niepotrzebnie gdzieś błaznicie. Między szeptami zaś Twój głos słodki słyszałem Sosenko.

Nagle, tuż obok, po lewej stronie, rozwarły się lekko ramiona lasu i, niczym brama, do raju ukazała się ścieżka.

– To chyba coś dla nas – powiedział Radek.

I wstąpiliśmy.

Ścieżka wila się pomiędzy drzewami, podarowując nam ciągle cudną niewiadomą najbliższych miejsc. Ogarnął nas świeży zapach igieł i żywicy. Ta odwieczna leśna woń zawsze była i będzie dla mnie czymś tak samo świętym jak zapach chleba wyjmowanego z pieca. I chociaż każdy co innego znaczy, co innego wyraża, to jest to ta sama płaszczyzna porównania, ten sam poziom natchnienia – zapach chleba i żywicy. Zaciągaliśmy się lasem, sztachaliśmy się pełną piersią. Buty równo uderzały o ziemię, równo gniotły samotne gałązki, deptały bezlitośnie pokrętną ścieżkę. Dały się ponieść het do przodu, dały się skusić przez tajemniczy szum, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd i wabił jak czarodziejski flet wypełniając ciszę coraz mocniej, z każdym krokiem. Szum zdawał się najpierw wyłaniać spośród leśnego gadania. Na początku był na pewno jego częścią, lecz z każdym metrem w głąb stawał się głośniejszy. Panoszył się coraz bardziej, wreszcie zaczął się rozpychać na spokojnym podwórku.

– Co to jest, co tak buczy? – zapytał Radek.

– To woda bracie, strumienie tak szumią.

Wiedziałem, że to potok, że to rwący, niosący zimną, kryształową wodę strumień. To on tak czarodziejsko śpiewał. Długo się ten śpiew pamięta. Gdy zaczyna czarować, słyszy się go tylko na początku, potem znika, mimo iż jest cały czas. Taka magia. Dziwacznie zaś jest, kiedy czary nagle mijają i szum ucieka, podczas gdy już się go pokonało przyzwyczajeniem. Dzieje się tak, gdy od strumienia trzeba się oddalić. Ale to będzie później, jutro dopiero, porą popołudniową, kiedy zboczymy nieco z potokowego szlaku i pójdziemy trochę bardziej na północ, ku jeziorom. Teraz jednak jeszcze jesteśmy nad strumieniem. Pijemy z niego wodę i myjemy twarze.

Usiadłem na brzegu i oparłem się plecami o drzewo. Zdjąłem buty i zanurzyłem stopy w wodzie. Omywała je posłusznie głaszcząc przyjaźnie, odbierała całodniowy drogowy znój. Czym ja zasłużyłem na taką łaskę? Często o tym myślę.

Radek oparty o to samo drzewo, tylko z drugiej strony, tak żeby sobie nie przeszkadzać, nie rozpychać się, wychylił się nieco i podał mi papierosa. Nucił coś, jakąś melodię.

– Co to? Piosenka? – zapytałem.

– Tak. To taki ładny kawałek, ma już parę lat. Nazywa się “Czas nas uczy pogody”.

– A chyba tak, przypominam sobie.

Gwizdaliśmy i śpiewaliśmy razem. Bardzo przyjemnie. Tak nam się piosenka spodobała, że przez całą wyprawę mieliśmy ją na ustach. To był trochę taki nasz hymn.

Powoli robiło się coraz bardziej szaro. Mrok wolno, po cichutku, na palcach, zaczął podkładać się pod naszą siedzibę. Zebraliśmy się powoli i ruszyliśmy znowu do przodu, lecz teraz już szliśmy inaczej, bardziej pragmatycznie niż poprzednio. Kombinowaliśmy, gdzie by tu można przytulić się do ziemi lub do drzew na rozpiętym hamaku, gdzie by tu można głowę zmęczoną położyć i przedrzemać do świtu. Miejsce trzeba wybrać starannie, nie na głupa, bo może się to źle skończyć. Najczęściej zmarznięciem lub zamoknięciem, co właściwie na jedno wychodzi. Tak więc szliśmy lustrując bacznie puszczańskie apartamenta.

Jednakże tej nocy nie dane nam było spać pod gwieździstym niebem. Ścieżka pomknęła w dół a my zostaliśmy na wzgórzu i ujrzyliśmy kilka budynków stojących ciasno obok siebie, stłoczonych prawie jak stadko owiec przed nocą. Patrzyliśmy zaskoczeni.

– Jakaś leśniczówka pośrodkowa albo co?

– Nie zawadzi spróbować, chyba widzę stodołę.

Zdecydowaliśmy się podejść pod samotną osadę. Sposobiła się okazja do cudownego noclegu, do olbrzymiego łoża z siana albo słomy pachnącej łąką, latem, spokojem...

Z każdym krokiem zagroda rosła i szum rósł, który jak nam się wydawało zostawiliśmy wcześniej z tyłu. Szum wyraźnie wzrastał się, przeciskał się do nas pomiędzy dachów.

– To jest młyn, stary młyn.

– Tu chyba wszystko jest stare – powiodłem wokół oczyma.

Byliśmy już bardzo blisko pierwszego budynku, kiedy na drodze pojawił się pies. Wyglądał jak demon nocy, która miała nadejść. Czarny jak smoła, wilczur, silnie gotowe do skoku bydlę. Mierzył nas błyszczącymi ślepiami i jeżył sierść. My zjeżyliśmy włosy.

– Mors! – krzyknął facet kilka metrów od nas – Spokojnie! Do nogi!

Odetchnąłem i poruszyłem lekko szywą szyją, badając czy mam krople na karku. Miałem. Radek również przychodził do siebie, widziałem jak otarł pot z czoła. Zmierzyliśmy wzrokiem właściciela. Facet nie wyglądał na chłopca, nosił się inaczej. Przypominał trochę turystę z wielkiego miasta przed końcem urlopu – zaaklimatyzowany, przyzwyczajony do wsi, z pieskiem na spacerku. Łatwo takich poznać. Prawdziwy miastowy to taki, który wstydzi się tego, że pochodzi ze wsi. Lecz po czasie, wyłazi sztydło z worka i okazuje się, że nie ma jak wiocha.

Jak się później, z wieści gminnej, dowiedzieliśmy, pan Śliwa – bo tak się nazywał – przyjechał do starego młyna przed dwoma laty. Przyjechał z wielkiego miasta, bo miał tam podobno czegoś albo kogoś dość. Pracował tutaj jako stróż, trochę jako administrator. Młyn już dawno

nie działał. W czasie wojny został wysadzony w powietrze, lecz pozostało trochę niezniszczonych budynków i zagospodarowany kawałek strumienia. Teraz mieściła się tu hodowla pstrągów. Właściwie narybka pstrągów, ponieważ małe rybki, tutaj dorastające, przewożono potem w inne miejsce do dalszej hodowli. Tutaj spędzały tylko dzieciństwo słodkie i błogie. Śliwa miał za towarzysza Morsa, mądrego i wiernego psa, jak twierdził. Oprócz Śliwy, w młynie był jeszcze jeden pracownik dokarmiający rybią młodzież. Wpadał też w odwiedziny leśniczy, który miał w młynie kilka swoich pomieszczeń na leśne rupiecie, a pewnie też często zaglądał typowo po sąsiedzku, żeby pogadać, czy papierosa razem wypalić.

Wyjaśniliśmy Śliwie, że przybyliśmy w celach turystycznych i brak nam noclegu. Mierzył nas podejrzliwym wzrokiem, taksował jak wprawny handlarz niewolników, lustrował bacznie chwytając każdy szczegół i już mieliśmy się wykręcić na pięcie, kiedy pewnie doszedł do wniosku, że złodzieje raczej nie chadzają na włam z pełnymi plecakami i wykluczył możliwość napadu.

– Macie jakieś dokumenty?

Oglądał nasze papiery kiedy powiedziałem.

– Niech je pan weźmie, odbierzemy jutro kiedy będziemy szli.

Potem Śliwa zaprowadził nas tuż nad strumień, pod murowany, częściowo drewniany składzik. Kiedyś była to część młyna właściwego. Widać było jeszcze ślady koła, zardzewiałych mechanizmów i koryta. Targnięty wybuchem biedak leżał pod gołym niebem bez mogiły.

Zajrzeliśmy za drzwiami składziku. Na podłodze z desek leżały resztki słomy, pod ścianami stały oparte jakieś badyle, siatki i sprzęty o niezidentyfikowanym przez nasze bystre oczy przeznaczeniu.

– Tutaj mogą panowie przenocować, nic lepszego nie mam.

– Wspaniale! O to właśnie chodzi, to jest dla nas luksus pierwsza klasa.

– Dziękujemy. Świetne miejsce.

Śliwa poszedł. My zostaliśmy. Zdjęliśmy plecaki i postawiliśmy je przy drzwiach. Obeszliśmy kilka razy kanciapę płosząc pająki i wzbijając w powietrze kurz.

– Sianka i słomy trochę mało – mruknął Radek.

Położyłem pałatkę na środku podłogi i na to rzuciłem śpiwór. Łóżko było gotowe. Radek rozpostarł na deskach karimatę. Należało wreszcie pomyśleć o posiłku. Wyciągnęliśmy z plecaków niezbędne przybory do stworzenia kolacji i wyszliśmy przed nasze nowe mieszkanie. Rozłożyliśmy się na trawie i zaczęliśmy warzyć strawę.

Technik biwakowego przyrządzania posiłków jest bez liku. Upłynęło trochę czasu zanim opracowałem własny optymalny system. Różne są potrzeby, różne są sposoby. Inaczej gdy się podróżuje samochodem, inaczej gdy kajakiem czy jachtem. My podróżowaliśmy pieszo. Do menażki nabrałem wody ze studni i ustawiłem ją na niewielkiej maszynie, pod którą rozpaliliśmy ogień z węglowej pastylki.

– Krupnik, podawać z chlebem lub bułką – przeczytał Radek na kolorowej torebce.

– Mamy suchary.

Woda zaczęła buzować po kilku minutach. Wiedziałem, że za chwilę stanie się jeden z cudów, który zawsze, bez wyjątku, fascynował mnie. Proszek wsypany do wody zamieni się w zupę. Cudowna przemiana proszku w zupę. Jak łatwo w dzisiejszych czasach być alchemikiem. Kiedyś, gdyby złapano nas na takich praktykach, spłonęlibyśmy żywcem. Z rozmyślań o magii wydobył mnie zapach krupniku. Teraz przestałem myśleć w ogóle.

– Jeść!

Radek zestawił menażkę na trawę, ja zdmuchnąłem płomień. Dymiącą maszynkę odstawiłem na bok i dobyteм лыżki. Wiosłowaliśmy na przemian zagryzając sucharami. Wreszcie blacha zaszurała o blachę. Zupy było sporo, tak że najedliśmy się.

– Na zdrowie – otarłem usta i nie bacząc na wieczorną rosę, ległem na trawie.

– Nie przypuszczałem, że to będzie takie dobre – Radek oglądał pustą torebkę – Made in Poland – odcyfrował.

– Lepsze od rosołu babci?

– W tej chwili tak.

– Dlatego, że jest a rosołu babci nie ma. Lepszy wróbel w garści, co ?

– Dokładnie.

– Jesteś stary najlepszym kucharzem

– Nie ja.

– A kto ?

– Głód – westchnął – głód.

Usiadłem, rosa pod plecami to nie najlepszy dywan. Palilem wolno papierosa i bawiłem się nożem wyciągniętym z chlebaka. Kupilem go kiedyś na bazarze, dosłownie za grosze, od dziadka handlującego zardzewiałym żelastwem – zębalki, kątowniki, sprężyny, wybebeszone budziki. Nóż leżał samotnie obok tego śmiecia i kłuł w oczy, przecinał wzrok patrzących. Jakimi drogami krążył, zanim znalazł się na ceracie dziadka handlarza, obok zwojów drutu i wnętrzości starego telewi-

zora nikt nie dojdzie. Wysuplałem wtedy z kieszeni jak dla mnie mało i wszedłem w posiadanie. Wyglądał imponująco. Długi, ostrze ponad dwadzieścia centymetrów, piłka do drewna po przeciwnej stronie, czarna rączka z tworzywa. Naostrzyłem go tak, że ciął skórę po dotknięciu.

Siedzieliśmy potem jakiś czas w milczeniu. Dookoła młynu, dookoła strumienia stał las i przyglądał się. Pachniało. Pachniało latem i sosnami, wodą i trawą. Nadciągała noc. Kiedy zapada ciemność każdy dźwięk, każdy zapach staje się wyraźny. Siedzieliśmy pochyleni nad delikatnością chwili czekając na coś niezwykłego.

W pewnym momencie zauważyłem małego chłopca. Stał nieopodal i patrzył na nas. Prawdopodobnie przyglądał się nam od dłuższego czasu..

– Cześć stary! – zawołałem.

– Chodź do nas.

Mały podszedł nieśmiało.

– Ja jestem Marcin – wyciągnąłem do niego rękę.

– Radek.

– Marek – mówił z opuszczoną głową.

Podaliśmy sobie poważnie dłonie. Marek nie miał więcej niż trzynaście, czternaście lat – ten słynny wiek, kiedy zapamiętuje się małe rzeczy, urastające później do rangi wspomnień. Oczy miał błyszczące i wpatrywał się w nóż.

– Fajny... – rzekł, kiedy dałem mu go potrzymać. Dotykał ostrza, ważył je w dłoni. Wyraźnie był pod wrażeniem.

– Stąd jesteś?

– Tak. Spod Źródłisk. Do wsi jest kawałek, rowerem prędko się przejedzie – nieufność zniknęła natychmiast. To też cecha tego wieku – Tutaj mało kto przychodzi, za młynem są dalej mokradła. Na Zimozie jest więcej ludzi. A panowie skąd?

– Z daleka, z wielkiego miasta. Stary, nie mów do nas panowie.

Mały poczuł się ośmielony.

– Nad jezioro, nad Zimoz, to zjeżdżają. Głównie Warszawa. Pan Śliwa też jest z Warszawy. A ja przynoszę ojcu jedzenie. On tu pilnuje pstrągów. Ma dyżur dziś i jutro. Tam w budce.

Ach, jak ja zazdrościłem temu chłopcu. Mieszkał tu od zawsze – był stąd. Nie widział jeszcze tamtego świata, naszego. Krótko ostrzyżony, w koszulce, w poplamionych spodniach i sandałkach na bosych nogach. Oglądał z za-ciekawieniem wszystkie nasze skarby: menażki, zapalki sztormowe (bardzo przydatne na wyprawie), busołą. I zadawał mnóstwo pytań. Pamiętam, że myślałem wtedy co się z nim dalej stanie.

Czy zostanie tutaj i kiedyś jego syn będzie mu przywoził kolację od żony, jak on teraz? Czy wyjedzie może w kraj szeroki, zdobywać wiedzy ostrogi, bo go tak nauczą, że wiedza, że szkoła, że potem druga szkoła, wyższa, że miasta, że pieniądze, że tutaj w tej dziurze to nic tylko płakać, że jedź, posmakuj świata, że wyszalej się pókiś młody, że przyjedź czasem w odwiedziny, że weź sobie bogatą dziewczynę, stamtąd najlepiej, co ma posag nielichy, dom i co się da, że zostań tam, żyj tam, pracuj, nie daj się, trzymaj się, amen.

I nagle, kiedy zastanawiałem się nad losami tego chłopca, trafiła mnie inna świdrująca myśl, między oczy, między obie napięte do granic półkule, że może właśnie teraz, w tej chwili, tkwię w momencie, który za ileś tam lat, nie wiem za ile, ale za dużo, za wiele lat, będzie moim wspomnieniem, nie mglistym, niewyraźnym czy jakimś zamazanym, ale będzie bardzo wyraźnym, bardzo realnym moim wspomnieniem – mnie. Poczuję się niedotykalnie. Bezpostaciowo. Jak w czyimś śnie. Nie, gorzej. Jak we własnym śnie. To było niezwykle. Miałem przed sobą pole do popisu, mogłem czynić wszystko. Te kilka chwil nagrywało się na taśmę a ja grałem niczym aktor. Improwizowałem. Wypełniałem te minuty po brzegi, żeby mieć później co wspominać, żeby nie zostać na lodzie. I wiedziałem, że surowe będzie oko widza, bardzo surowe, nic się nie ukryje – wszystko na widelcu, bo to będzie moje oko, osiemdziesięcioletniego na przykład starca, jeśli dożyję, w co wierzę, czujne i bezlitosne oko starca bujającego się w fotelu i w zadumie kiwającego głową.

– Widziałeś żółwie? Są tutaj podobno.

– Są. Mogę was zaprowadzić jutro na Sokołów. Tam dopiero jest pięknie, chodzimy tam z ojcem i wujkiem na ryby.

– Pokaż na mapie. Może pójdziemy.

Siedzieliśmy jak nad obrusem. Radek przyświecał szturmówkami. Na obrusie zamiast chleba leżała busola. Nóż polegał obok. Wodziliśmy nim od czasu do czasu po kolorowych plamach.

– Trochę nam nie po drodze. Sokołów zostawiamy z boku. Idziemy strumieniem dalej, przez Zimoz i potem znowu na północ.

– Są tutaj konie? – zapytał Radek.

– Tu nie, w Źródłiskach, ale wujek może dziś przyjedzie wozem to będą.

– Jeździłeś kiedyś na oklep?

– Jasne.

Niedługo potem, rzeczywiście, usłyszeliśmy skrzypienie wozu i parkanie konia. Było już prawie ciemno. Zmrok znudzony sklejał powieki i przechylał powoli głowę. Czasem budził go raptownie ptasi krzyk. Pod-

nosił wtedy czujnie czoło, ale zaraz głowa znowu mu opadała. Wieczór schodził z warty, nadciągała noc.

Na koźle siedział leśniczy. Zwoził z wyrębu pniaki. Cała ich kopa piętrzyła się na wozie.

– Marek, chodź pomóż. – powiedział złącząc z fury.

Przyszedł też Śliwa i otworzył jedno z trzech drzwi zrujnowanego młyna. Izba sąsiednia do naszej. Rozwarł wrota szeroko i zabrał się do pniaków. Pojawił się też facet z budki od pstrągów. Nosiliśmy wszyscy. Po dwóch na jeden pieniek: Marek z ojcem, ja z Radkiem, Śliwa z leśniczym. Rzucaliśmy je na kupę do składziku. Po kwadransie był fajrant.

– Zapalimy? – powiedziałem prostując krzyż.

Stanęliśmy razem w koło i powyciągaliśmy papierosy. Śliwa szeptał coś leśniczemu. Ten zwrócił się do nas.

– Pierwszy raz panowie tutaj?

– Pierwszy. Pięknie tu macie.

– Ano pięknie, tyle że roboty dużo.

– Lżej się robi gdy pięknie.

– Lżej się robi gdy są pomocnicy. Dziękuję.

– Nie ma sprawy, trzeba zasłużyć na spanie.

Popaliliśmy, pogadaliśmy, postaliśmy. Radek gładził starą kobyłę po sierści.

– Dam jej suchara – stwierdził.

Leśniczy został tej nocy w młynie. Nie chciał wracać wozem po ciemku do domu. Pomogliśmy mu wyprząc konia a potem zeszlśmy nad strumień umyć menażki – trzeba o tym pamiętać póki nie zaschną resztki. Przed domem Śliwy paliło się światło. Pełniło trochę rolę latarni morskiej bo zewsząd rzucało się w oczy i ułatwiało orientację. Dookoła żarówki kłębiły się ogłupiałe ćmy i komary, nie bacząc na misterną, pajęcą sieć.

Weszliśmy do swojej kanciapy świecąc zapalkami. Radek pogmerał trochę w plecaku i wyciągnął świeczkę. Mościliśmy się ostatecznie gdy rozległo się pukanie.

– Panowie pozwolą do nas na trochę – powiedział Śliwa.

Kątem oka zobaczyłem stolik i parę krzesel wyniesionych przed ganek. Coś majaczyło na blacie.

– Radek – szepnąłem – oni chyba chcą nas ugościć a my nie mamy nic na stół.

– Weź chociaż fajki, te lepsze.

Podeszliśmy pod ganek. Na stoliku stało kilka piw, talerzyk z herbatnikami i paluszkami. Poczęstowaliśmy “tymi lepszymi” i usiedliśmy. Marka nie było, pewnie spał w chałupie albo pojechał do Źródlisk. Le-

śniczy stał oparty o stolik i wpatrywał się przedziwnym, niepatrzącym wzrokiem w ciemną ścianę lasu. Puszcza o tej porze wyglądała jak rycerstwo ustawione w szeregi. Śliwa, który gdzieś się na chwilę zawieruszył, pojawił się za moment i postawił w sercu stolika pękatą butlę. Leśniczy odwrócił oczy od mrocznych, milczących zastępów, przejechał ręką po głowie i dostrzegł na stole nowy element.

– Och, jaki prezent panie Śliwa! Jest korkociąg? Może panowie usłużą, mnie nóż zginął...

Radek wziął butlę z winem, wkręcił korkociąg ze swego ruskiego scyzoryka i wyciągnął korek. Dał się słyszeć ów słynny, niepodobny do niczego innego dźwięk. Leśniczy odebrał butlę i przesunął sobie pod nosem.

– Z malin – rzekł Śliwa – ubiegłoroczne.

– Toż to będzie malina ta malina.

– Tu zbierane, leśnych malin tutaj pełno. Wiadrami można ciągnąć.

– No, to zdrowie lasu. – leśniczy zaczął rozlewać a serce moje, tak jak napełniana domowym winem szklanka, napełniało się ciepłem.

– Jak zdrowie lasu to zdrowie lasu – powiedział Radek i wstał.

– Tak jest – sapnął Śliwa.

– Tak. Tu nie ma żartów – i też wstałem. Podnieśliśmy szklanki. Nieme drzewa zagłądały nam przez ramię. Wychyliliśmy w milczeniu.

– A to dla leśnych skrzatów – powiedział leśniczy wytrząsając resztkę wina ze szklanki.

I dla Ciebie Sosenko – dośpiewałem w myśli.



Ciepła, czerwcowa noc szczelnie wypełniła wszystkie zakamarki. Trochę niedbale jednak zakryła niebo, bo przez jej czarny płaszcz prześwitywały gwiazdy. Patrzyłem. Próbowiałem dojść sedna. Zastanawiałem się, czy przypadkiem gwiazdy, to nie zimne, pokruszone słońce, albo czy to nie gwoździe powbijane w firmament, a może to tylko dziurawy parasol nocy lub zamalowane niedokładnie na czarno akwarium, albo to cmentarz kosmiczny i gwiazdy to pochodnie, albo to ogniska na bezludnych wyspach, albo ślepie błyszczące wilczej zgrai. Miasta płoną, dzieci płaczą ...

Trochę szumiało mi we łbie po piwie i winie. Odeszliśmy już jakiś czas temu od stolika i podziękowaliśmy grzecznie za gościnę. O świcie trzeba było wstawać, więc cennych było choć kilka godzin snu. Padliśmy na wyrka. Od czasu do czasu, w ciemnych czeluściach kanciapy odzy-

wały się myszy. Pędziły na oślep, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Lecz było to bardziej kojące niż denerwujące.

– Co byś chciał w życiu robić, ale tak na prawdę? – wtem zapytał poważnie Radek.

Upłynęła chwila zanim rzekłem.

– Nie mogę powiedzieć i to wcale nie dlatego, żebym nie chciał.

– No to dlaczego?

– Bo czuję, że cokolwiek teraz powiem, to się spełni.

– Straszne ! To nic nie mów, ani mru mru.



I szliśmy znowu. Przed siebie. Świt był z tych najświętszych. Każdy świt jest święty ale ten był wyjątkowy. Las huczał ptasim żywiołem, zapach żywicy podchodził pod gardło. Powietrze było rześkie, ranne. Chłodu się nie czuło bo dookoła tak się pięknie działo, tak pięknie dniało, że któż by się chłodem przejmował. Szliśmy cały czas wzdłuż naszego strumienia–przyjaciela. Wiódł nas w knieję niezbadaną i to było coś dla nas. To była ta chwila, o której marzy się, o której śni się w owe tamte, piekielne dni. Słyszałem kiedyś jak pewien sparaliżowany facet mówił, że jego największym marzeniem jest przespacerować się po parku, i że oddałby resztę życia za to by móc to uczynić. I tutaj, teraz, dla mnie, to była właśnie ta chwila. Szedłem przy strumieniu, wdychałem pełną piersią rześkie ranne powietrze i byłem tam gdzie być powinienem, gdzie moje miejsce jest.

Niebo nad naszymi głowami kłóciło się z koronami sosen o przestrzeń. Zielono i niebiesko było w powietrzu, trel i szum strumienia, zapachów symfonia. Jakiż raj! Ludzie, czy wy rzeczywiście wierzycie w Niebieskie jakieś Królestwo? Ach, pod nosem je macie, obok. Tylko, że nikomu spojrzeć się nie chce, bo za blisko, jak blisko to niedobrze, musi być daleko, w niebiesiech nieznanym najlepiej.

Słońce pięło się coraz wyżej z każdą chwilą nasycając światłem spragnioną po nocnym poście ziemię. Piliśmy wodę ze strumienia, chlapaniśmy się bez pardonu, wyliśmy ze śmiechu, jakiś spory szmat drogi leżliśmy na bosaka wodą. Nurt był niewielki, piasek łachotał stopy, żaby przerażone czmychały pod podmokłe kępy. Towarzyszył nam słynny leśny dialog dzięcioła i wilgi. Las bez wilgi, to zima albo jesień ponura. Nie ma wyjścia – wilga to dusza lasu. Pamiętam, że gdy bywało ze mną nienajlepiej to biegłem do niej, do jej wołania. Tłumaczyła mi wtedy wiele. Zawdzięczam jej więcej niż niejednemu człowiekowi.

Małe wzniesienie jakby na nas czekało. Właściwie można to stwierdzić z pewnością. Dla nas przygotowano trawę świeżą, bliskość wody i widok nad widoki w dole rzeczki – aleję, do której wchodzi się i o świecie zapomina, rusalki płasają po okolicznych bagnach, błędne ogniki migają za drzewami, puchacz huczy i wabi.

Zasiedliśmy do śniadania. Pobłogosław Boże te dary. Zjedliśmy trochę sucharów z dżemem i popiliśmy gorzką herbatą. Do obiadu wystarczy, teraz po papierosie, plecami o plecy i przymknąć oczy. Tak, teraz dobrze. Trochę ciszy do smaku.

– Słońce już wysoko – lekko zmrużyłem oczy przedzierając wzrok przez gałęzie.

– Przeszliśmy z pięć kilometrów. Może mniej. Ten strumień bardzo kręci. – Radek odwrócił się do mnie – Słuchaj, a gdybyśmy tak poszli na skrót, przez bagna?

– O ile to się opłaci. Wiesz jak to jest ze skrótami.

– Co nas trzyma? Przed nami przestrzeń!

– Jasne. Przestrzeń i otchłanie!

Pozbieraliśmy się do dalszej dogi. Powoli marsz został całkowicie podporządkowany strumykowi. Nie można już było dowolnie wybierać sobie szlaku, to tędy, to owędy. Strumień to było jedyne wyjście. Dookoła kłębiły się coraz większe i coraz groźniejsze zarośla. Olsy, łęgi, komary, gzy i pokrzywy. Sosny powoli ustępowały miejsca. Oddawały pole innej, wielkiej armii – brzozom. Skazani na strumień brnęliśmy potulnie z prądem. Buty związane do siebie sznurówkami przerzuciliśmy jak szaliki przez szyję. Początkowo próbowałem podwinąć nogawki ale kiedy woda zaczęła sięgać kolan, dałem spokój. Dno rzeczki cały czas pokrywał żółtozłoty piasek, ten sam co wcześniej w świeżym borze, zupełnie jak z nadmorskiej plaży. Był trochę jak nić Ariadny co łączy z innym światem, przypominał, że możemy zawsze wrócić. Lecz wtedy zupełnie nie to nam było w głowie. Parliśmy do przodu, po nitce, na spotkanie z nieznanym. Chcieliśmy się zmierzyć, z nim, z Minotaurem puszczy, z którymś tam leśnym żywiołem. Z bagnem.

Nurt stawał się coraz bardziej spieniony i woda wydawała się chłodniejsza. Robiło się głębiej. Szliśmy po pas uważając żeby nie zamoczyć plecaków. Pluskało i szumiało dookoła.

– Jakiś ostry przełom, spore spiętrzenie! – krzyknął poprzez szum Radek. Szedł na przedzie i badał grunt – Robi się grząsko!

Faktycznie, złoty piasek zaczął przegrywać z czarnym mułem. Nić zaczęła się rwać. Stopy zapadały głęboko. Raz wpadłem w szlam prawie po kolano. Z trudem wyciągnąłem nogę. Spoglądaliśmy na brzegi. Las już dawno czmychnął pozostawiając po sobie tylko zarośla, te zaś prze-

rodziły się niedługo w podmokłą łąkę. Trawa dochodziła tu, bez przesady, do dwóch metrów. Jej lodygi wyrastały z turzycowatych kęp, wokół których stała woda przykrywająca maź. Nieco dalej, ponad łąką, zatrzymał się las. Stał teraz na wzniesieniu i wyraźnie się suszył, grzał się demonstracyjnie, wystawiając do słońca sosnowe gałęzie. Tymczasem u nas robiło się niewesoło.

Strumień nie rwał już jak oszalały do przodu. Sprzymierzony z bagnem postanowił załatwić nas inaczej. Zachciało się wam bratkovie zadzierać z odwiecznym rzeczy porządkiem? Tutaj nie ma wstępu bez pukania. Widać miał spore doświadczenie. Rozlał się leniwie tworząc szerokie koryto. Nie bulgotało już i nie szumiało, uspokoiło się, wydawać by się mogło, że zachęca nawet do dalszego crossu. Głęboko nie było, ciągle staliśmy po pas w nieruchawym nurcie.

– Słyszysz? – zapytał nagle Radek.

– Co? – wystraszyłem się.

– O to chodzi, że właśnie nic. Cisza zupełna, krypta grobowa.

Zatrzymaliśmy się. Faktycznie, szum który towarzyszył nam bezustannie od wczoraj, przepadł gdzieś bez śladu. Staliśmy do połowy łydek w mule.

– Tu jest jak na tamtym cmentarzu – powiedziałem.

Powiedliśmy wzrokiem dookoła. Woda, wysoka trawa na brzegach, daleko las i cmentarne milczenie ponad tym wszystkim. Szum, szum przyjaciel, leśny wszechobecny towarzysz umilkł. Przestał nucić swoją pieśń. Nie przypuszczałem, że aż dotąd mogą sięgać oślizłe macki strachu.

– Coś jest nie tak.

– Trzeba było wziąć kije. Marcin przytrzymaj mnie a ja coś sprawdzę.

Złapałem Radka za rękę a on zaczął sondować nogą dno. Po chwili odwrócił się gwałtownie.

– Ciągnij mnie, mocno, zapadam się!

Pociągnąłem, poczułem że idzie w górę. W tej samej chwili stwierdziłem, że sam się zapadam.

– Rany! Radek! Teraz ja!

Drąc się w niebogłosy, na wzajem popychając i holując z ogromnym trudem cofnęliśmy się parę metrów.

– Walimy do lasu, ostrożnie!

Wskrabaliśmy się rozpaczliwie na błotnisty brzeg, chwyciliśmy za turzycowate spódnice i dyszeliliśmy nie mówiąc ani słowa. Wczepiłem się w trawsko jak kleszcz w skórę i łapałem ustami powietrze. W końcu trzeba było się jednak oderwać. Powstałem. Przed nami stał gąszcz traw.

Niczym ślepiec, wyciągnąwszy ręce do przodu, zacząłem iść. Zanurzaliśmy się w otchłań a trawy kryły nas bezapelacyjnie. Zamknęło się nad głowami niebo. Od pasa w dół uwalani czarnym, śmierdzącym szlamem, przeskakiwaliśmy z kępy na kępę. Czasem, kiedy nie udało się dokładnie trafić i stopa zapadała się – żaby rechotały ironicznie. Na spoconej szyi lub ramionach, co rusz, lądowały motyle albo ważki. Krążyły ławicami, a ich fruwanie, w tym trawiastym akwarium, bardziej przypominało pływanie. Wyskakiwały jak ryby nad powierzchnie a potem nurkowały pikując na oślep w dół. Najgorsze były jednak gzy, którym nieoczekiwanie trafił się krwisty kąsek – żarły bezlitośnie. Opędzaliśmy się bezskutecznie.

Wreszcie, nieludzko zmęczeni dotarliśmy do lasu. Dopadliśmy gruntu jak rozbitkowie stałego łądu. Padłem bez czucia na ziemię i dłuższą chwilę, bez ruchu, w kompletnej ciszy, słuchałem jak pulsują mi skronie. W górze wyniosłe trwały sosny i świerki, w dole kłębiły się splątane, klujące zarośla. Leżeliśmy zbierając siły

– Daj zapalić – odezwałem się wreszcie.

Radek rzucił “Emersony”.

– Ja chyba najpierw włożę buty.

– Dobry pomysł, nogi mi ścierpły.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że od dawna szedłem na bosaka. Usiedliśmy w kukki i chociaż z grubsza, ścieraliśmy ze stóp, zaschłe już trochę błoto. Według wszelkich prawideł, pisanych i niepisanych zasad walk, zostaliśmy przez bagno rozłożeni na łopatki. Jak to się mówi – dostaliśmy zdrowo popalić, czy jak kto woli – dostaliśmy w dupę. Tak. Ale jeżeli w ogóle o tym tak mówić, w tych kategoriach, to powiem, że było mi z tym całkiem nieźle. Wygrałem bo przegrałem. Są jeszcze takie miejsca, takie rejony gdzie i o to chodzi

– Cholera, czy to gówno da się jakoś splukać? – Radek pojechał po czarnych spodniach palcem.

– Wypierze się w jeziorze.

Włożyliśmy wreszcie buty i zapaliliśmy. Słońce suszyło nas cierpliwie.

– W brzuchu mi burczy.

– Może zjemy czekoladę – zacząłem gmerać w kieszeni plecaka – Masz – przelamałem na pół tabliczkę.

Powoli żuliśmy słodką gorycz. Przynajmniej ja. Najpierw żułem, potem ssałem. I nagle zachciało mi się śmiać. Pomyślałem sobie, że ktoś niewtajemniczony, ktoś nie znający istoty zjawiska, mógłby pomyśleć, że my tak bez powodu, ot ze zwykłego łakomstwa, zajadamy w lesie czekoladę. A różnica była zasadnicza, taka jak między wypiciem szklanki

wody w domu przed telewizorem a na pustyni. I nie ma tu żadnej przesady. Papier po czekoladzie złożyłem starannie i cisnąłem do kieszeni mojego ruzaka. Patrząc na to Radek, z odrobiną metafizycznej zadumy, lekko kiwając głową, bardzo poważnie powiedział:

– Wywóz śmieci do lasu surowo wzbroniony.

Niczym święty werset zacytował starą tabliczkową formułę znaną nam doskonale z wielu rachitycznych, przemiejskich lasków. Zaśmiałem się. Najpierw lekko potem trochę mocniej. Chwilę się dusiłem, żeby za głośno nie parsknąć ale nie wytrzymałem. Radek też wreszcie prychnął. Potem znowu i jeszcze raz. Za moment trzymaliśmy się już za brzuchy. Ja tarzałem się po tym cholernym, kłującym poszyciu i wyłem ze śmiechu. Radek leżał na plecach i płakał jak bóbr. Od czasu do czasu przestawaliśmy, żeby za chwilę zacząć od początku.

– Dosyć, spokój – starałem się powiedzieć nagle poważnie i za chwilę wyliśmy jeszcze bardziej. Trzęsła się ziemia, igły z drzew padały. Poważnie zatruliśmy się śmiechem. A gdzieś w tym naszym wrzasku, pomiędzy raczej, przysięgam, jeszcze słyszałem czyjś śmiech. Twój Sosenko.

Z trudem, lecz jednak, powoli, pozbieraliśmy się i wzięliśmy się w garść. Wstałem i przeciągnąłem się. Dyskretnie otarłem oczy, żeby Radek nie widział, że wśród tych wielu radosnych łez zawieruszyło się też kilka innych. Czuję się oczyszczony, jak po wyjściu ze świętej rzeki. Mimo tego, że byłem cały powalany błotem, ręce miałem czyste, serce miałem czyste, spojrzenie i przepalone papierosami płuca też miałem czyste. Byłem lekki i śpiewny. Śmiech nasz z czego był? Ze wszystkiego. Z całej radości i całego nieszczęścia.

Słońce podsuszyło trochę ubłocone gacie, tak że można było z nich zeskrobywać patykiem grube warstwy. Po wstępnym odbłoceniu przytroczyliśmy nasze życiodajne, nieodłączne garby i ruszyliśmy w górę przez zarośla. Szedłem pierwszy i ostrożnie odsuwałem gałęzie, żeby nie smagały kroczącego za mną Radka. Wspinaliśmy się mozolnie na morenę, płosząc od czasu do czasu roje motyli. Latało ich tutaj, na granicy bagien i lasów tysiące – prawdziwe fruwające kwiaty.

– Wiesz co, mam nadzieję, że to wszystko nam się nie śni – odezwałem się.

– Też mam taką nadzieję. A jeśli nawet, to nie budźmy się.

– Nie widzę potrzeby.

I brnęliśmy dalej. Już nie w trawie, już nie w bagnie ale w zieleności. Jak w transie. Przedzieraliśmy się dość długo zanim trafiliśmy wreszcie na solidny, leśny dukt. Ten sam żółty piasek co zalegał na dnie strumienia znowu się nam objawił, tyle że nie leżał teraz pod wodą

lecz pokrywał drogę. Na początku pomyślałem nawet, że to wyschnięte koryto ale nie. To nie było to. Wleźliśmy na typową, leśną drogę, rozjeżdżoną traktorem, wozem, gazikiem, czy wreszcie rowerem lub motocyklem leśniczego. Przykleiliśmy na niej i rozłożyliśmy mapę. Chwilę medytowaliśmy badając strony świata. Droga wiła się kręcąc fantastyczne pikuety ale, na szczęście, wiodła w kierunku przez nas obranym.

Teraz się dopiero szło! Idealnie. Stąpaliśmy po bardziej ubitej ziemi, bliżej skraju. Pozostawały za nami potężne ślady – jak monstrualne tropy nieznanego zwierza. Spracowane podeszwy butów budowały sobie wreszcie zasłużone pomniki. Droga, o której można powiedzieć, że się ją zna, to taka droga, którą przeżegnało się własnymi stopami, którą pobłogosławiło się w marszu, wciskając w nią własny pot i własny znój. Innych dróg nie ma. Reszta to bluff, oszustwo. Jedziesz tramwajem, pociągami, samochodem – to wszystko oszustwo. To kino lub telewizja. Ani grosza prawdy. Zero życia. Życie jest tu pod nogami, a nie za oknem pędzącego auta. Idąc, z każdym krokiem wbijasz w ziemię cząstkę siebie, oddajesz się, rozdajesz się, rozmieniasz się, pokorniejesz, idąc, częściowo zostajesz w drodze na zawsze, jesteś jej częścią, lepiej ją rozumiesz, wszystko lepiej rozumiesz, wrastasz w nią jak uparty mech w drzewo i nosisz ją w sobie, masz ją w sobie. Pamiętasz kształt kamienia co leżał przy rowie, wyrwę na szosie, koleinę skąpaną w deszczu. Wszystko pamiętasz. I droga też cię pamięta. Wita potem z uśmiechem.

Zjednoczeni z okolicą, niebem i powietrzem parliśmy do przodu. Po lewej stronie las zaczął się lekko przersedzać. Nieznacznie na początku, wstydliwie i nieśmiało, lecz z każdym krokiem odważniej. Coraz więcej światła padało na żółty piasek. Wreszcie słońca promienie przebiły uległą już zupełnie leśną zasłonę i zmrużyły nasze oczy. Otworzyła się szeroka polana, ta sama zabagniona dolina rzeczki, przed którą niedawno uciekaliśmy. Droga biegła teraz skrajem puszczy tuż nad strumieniem. Szliśmy cicho starając się nie przypominać, potok jednak zapomniał o nas w ogóle. Zajął się własnymi sprawami, które pochłonięły go całkowicie. Nie zwracając na nas uwagi, płynął wartko goniąc ważki i motyle.

Właściwie to powinniśmy znaleźć się po drugiej stronie bagnistej łąki. Tak wynikało z mapy. Szliśmy naiwnie sądząc, że znajdziemy mostek czy kładkę, ale oczywiście było, że na tym odludziu nie znajdziemy nic. Na przeciwko, po drugiej stronie widniały morenowe wzniesienia porośnięte lasem. Stamtąd było bliżej do jezior. Posiedzieliśmy trochę na brzegu i w końcu zdecydowaliśmy się na przeprawę. Nauczenni doświadczeniem znaleźliśmy dwa solidne kije, którymi sprawdzaliśmy dno. Koryto tutaj było szersze i dno uciekało gwałtownie metr od

brzegu. Szliśmy pokornie wzdłuż nurtu szukając brodu. Wreszcie zdecydowaliśmy się. Rozebrałem się jak do rosołu. Wszystkie ciuchy wepchnąłem do plecaka, po czym złapałem go oburącz i uniosłem w górę. Radek to samo. Zanurzyłem lewą nogę, potem prawą. Powoli wszedłem do rzeki. Grunt tutaj był twardy, dużo pewniejszy niż w górze strumienia, stąpało się bezpiecznie. Krok po kroku, gęsiego, wchodziliśmy w wodę. Nurt nie był silny lecz robiło się coraz głębiej. Z brzegu nie wydawało się, że będzie aż tak. Woda zaczęła sięgać po szyję. Była to jednak kulminacja. Spokojnie minęliśmy punkt krytyczny i chwilę potem znaleźliśmy się na drugiej stronie.

Wykorzystując sprzyjające okoliczności postanowiliśmy skorzystać z gościny udobruchanej rzeczki i zaczęliśmy w przybrzeżnej płyciźnie zmywać z siebie resztki czarnego błota. Na tyle na ile się dało wyczyściliśmy resztę ciuchów i ruszyliśmy w drogę. Opłaciła się nam ta nadgorliwość szybciej niż można było przypuszczać. Oto po godzinie marszu, dotarliśmy do pierwszych wiejskich chałup. Możliwe, że gdyby ujrzano nas tak jak wyglądaliśmy wcześniej, uznano by nas za parę diabłów. Jednak w miarę podobni do ludzi, ufni w to przede wszystkim, kroczyliśmy dumnie przez centrum wioski.

Wieś była uboga i zagubiona. Dukt centralny wciąż był piaszczysty, nikt się nie pofatygował, żeby go umocnić, czy nie daj Boże wyasfaltować. Oczami wyobraźni ujrzałem natychmiast porę jesienną i totalne trzęsawisko.

Zdaje się, że przychodziliśmy do wsi od strony dla tubylców niewyobrażalnej i geograficznie niepojętej. "Oni idą od bagien!". Tak słyszeliśmy raz po raz za plecami. Ludzie pokazywali nas palcami. Niewiele sobie z tego robiąc sunęliśmy dalej. Wtem, wyrósł przed nami sklep gminnej spółdzielni.

– Może byśmy tak kupili chleba? Chodź zobaczymy co tu w ogóle mają – Radek zdjął z siebie ciężki plecak i oparł go o mur.

Chałupa, w której mieścił się sklep, stała taka sama jak wszystkie inne dookoła. Nie wyróżniała się niczym szczególnym, ta sama czerwona dachówka, te same ceglaste ściany. Zanim zrobiono z niej sklep była czymś domem. Ktoś tu mieszkał, żył, ktoś tu się urodził, ktoś umarł, pan młody prznosił przez próg żonę, rodzice witali chlebem i solą, w ogrodzie czekało wesele, zachodzili sąsiedzi, listonosz przywoził listy, dymiło się z komina i garnki pewnie wisały na płocie. Byli na pewno tacy, dla których zaczynał się i kończył w tym miejscu świat.

Wszedłem do ciemnego wnętrza jak intruz. Pewnie tutaj była sypialnia. Pod ścianą ustawiono półki, przed nimi ladę, w rogu lodowa –

tradycyjny wiejski sklep. Pewnie pod tą ścianą stało łóżko, obok lustro i szafa.

– Dzień dobry. Proszę panią, czy dostaniemy chleb?

Za ladą, czyli po drugiej stronie barykady, stała solidna baba.

– Nie. Panowie nie byli chyba zapisani. U nas chleb jest na zapisy, mogą zapisać do zeszytu ale dostawa będzie dopiero za dwa dni.

– To nie, trudno, jakoś sobie poradzimy. A ta konserwa, o tam – pokazałem palcem – to pasztet jest?

– Tak, Wrocławski.

– Patrz – powiedział Radek – Wrocławski na Mazurach, a we Wrocławiu Mazurski.

– To poprosimy i jeszcze da pani po orężadzie.

Odkapslowaliśmy i wyszliśmy przed sklep. Dzieciaki, rzecz jasna, kręciły się w pobliżu lecz były bardziej nieufne niż w Źródłiskach. Stały w sporej odległości od nas, zbite w stado, i gapiły się jak na UFO.

– Może powinniśmy kupić trochę fajek?

– Mamy jeszcze – popijałem orężadę rozglądając się dookoła – właściwie moglibyśmy coś przekąsić, południe niedługo.

– No, po to ten pasztet, żeby nie marnować zapasów. Wyciągaj suchary.

Radek rozpiął kieszeń plecaka gdy nagle dobiegło nas wołanie.

– Proszę panów, proszę panów!

Odwróciliśmy się zdziwieni. Pani sklepowa wyszła do nas trzymając coś w ręku.

– Ja tu mam pół chleba dla panów. Ze swojego odkroiłam. Nie uchodzi nie dać. Panowie pewnie głodni bo i z worami idą. Proszę.

Zamurowało mnie. Wrosłem w ziemię obfitymi korzeniami i nie mogłem przemówić. Już dawno przestałem wierzyć w takie przypadki ale cuda, okazuje się, zdarzają się jeszcze. Mój Boże, źle jest z nami, gdy zwyczajny ludzki gest urasta do rangi cudu. To co powinno być powszechne jest jakimś niezwykłym zjawiskiem. Potężnie wygląda pomnik gościnności na pustyni nieżyczliwości.

– Dziękujemy pani, to dla nas wielki zaszczyt. – powiedział drżącym głosem Radek. Oczywiście nie chciała przyjąć zapłaty.

– Za chleb darowany płacić? – mówiła – Nie daj Boże! Grzech.

Tylko raz wspomnieliśmy o pieniądzech, raczej dla zasady, jasne było, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Zrobiliśmy tak na wszelki wypadek, bardziej dla siebie niż dla niej, żeby nie mieć wątpliwości, że to prawdziwy cud. Był to rodzaj uszczypnięcia się, jak przez sen.

Nie czekając dłużej uczyniliśmy od razu co należało: pokroiłem chleb swoim potężnym nożem, Radek otworzył pasztet Wrocławski i

rozłożywszy się wygodnie na trawie pod sklepem, zabraliśmy się do jedzenia. Chcieliśmy, żeby było widać, że chleb się przydał. Mogliśmy się bez niego obejść, to prawda – sucharów mieliśmy w bród i innego żarcia też, ale czuliśmy potrzebę podziękowania. A była to wtedy jedyna możliwa forma wdzięczności.

Zapaliliśmy jeszcze po papierosie i zaczęliśmy się zbierać. Nabraliśmy do manierek wody z bezpieczeństwa studni i zajrzeliśmy znowu do sklepu.

- Do widzenia. Jeszcze raz dziękujemy.
- Nie ma za co Do widzenia. Na zdrowie.



Słońce parzyło coraz bardziej. Rozchełstani do granic przyzwoitości walczyliśmy z upałem. Zawiązałem, jak zwykle, niebieską chustkę na czole, żeby pot nie spływał mi do oczu i żeby było czym odganiać gzy. Przy prawym uchu dyndały jej luźne końce i wystarczyło poruszyć głowę, żeby muszyska na chwilę przegonić. Obaj już od dawna marzyliśmy o chłodnej toni jeziora. Jawiła się nam w wyobraźni jak oaza. W takich momentach dobrze się rozumie pustynne opowieści o konaniu z pragnienia, o fatamorganach i o życiodajnych wodach pośród bezkresnego piachu.

Szliśmy. Ciągneliśmy jak na zew. Coś nas wzywało, coś wabiło. Co – nie wiem. Domyślałam się tylko, tak trochę, po cichutku, bo nie chcę się pozbawiać złudzeń, mówiąc to głośno. Myślę sobie zatem, że to przez Ciebie kochanie, że to ty mnie tak gnasz do siebie. Że przychodzi taki moment, że musisz mnie zobaczyć i wysyłasz jakąś tajemną, Tobie tylko znaną energię, która oplata i czy chcę tego, czy nie chcę, prowadzi mnie do Ciebie. Jak ćmę do światła. Czuję czasami coś takiego, niewysłowionego, jakby ktoś myślał o mnie intensywnie, prawie stał za mną, muskał mnie spojrzeniem., mimo że jestem sam, samiutki w wielkim mieście. Och Sosenko.

Droga wiała się sprytnie najpierw omijając morenowe, porośnięte tutaj młodnikiem, pagórki. Potem wyprostowała się nagle i popędziła prosto przed siebie. Kroczyliśmy w bajkowej, złotej scenerii. Po obu stronach gościło późnoczerwcowe zboże. Czasem zatrzymywałem się przed majestatem i zrywałem niedojrzały jeszcze kłos. Żeby się przyrzec, żeby uwierzyć. Milczeliśmy sobie z Radkiem gadatliwie. Jakoś nigdy nie mogliśmy dość się nagadać lub namilczeć, co na jedno wychodzi. O czym myślałem wtedy? Niestety przypominało się sporo. Myślałem, dlaczego właśnie tak jest, że czasem przypomina się niespo-

dziewanie to, co nie powinno, a w każdym razie nie to, co by się chciało. Kwitną we łbie wspomnienia jak purpurowe róże na śnieżnobiałej koszuli powstańca. Po co? Dlaczego? Trudno się całkowicie wyczyścić z tego co było. Ja nie potrafię. Tym co umięją – zazdroszczę. Słyszałem kiedyś, że podobno głównie pamięta się dobre rzeczy. Ale ja nie bardzo się z tym zgadzam. Dobre to błogosławiona oczywistość nie warta dalszego roztrząsania. Złe natomiast, jest dla mnie zawsze niepojętą zagadką, największym paradoksem. Długo boli i długo uwiera. I nie chodzi tutaj o płytką pamiętliwość, o noszenie do kogoś urazy. Broń Boże. Chodzi tu o poważne pęknięcie w jasnej konstrukcji tego świata. Ostatnio nauczyłem się z tym żyć. Tyle, że potrafię sobie wytłumaczyć, iż nie czas i nie miejsce roztrząsać pewne sprawy. Kiedyś takie ataki trwały dłużej, dzień czasem, kilka dni.

Myślałem też o pogodzie. Zastanawiałem się czy to przypadek, że od kilku dni, akurat na czas naszej wyprawy, na niebie, ziemi i w powietrzu było odświeżenie. Żadnego chłodu, żadnego deszczu, ciepło tylko, upalnie w ciągu dnia i wietrznie jak należy, czyli delikatnie, trochę więcej niż flauta. Myślałem z wielką radością, o tym cudownym zbiegu okoliczności bo po cichu podejrzewałem również, że przygotowane było to dla nas. Wieść gruchnęła jakiś czas temu, z potwierdzonych źródeł oczywiście, że jadą, że zbliżają się, idą i będą niedługo. Zabrało się bractwo do sprzątania, no i wysłało delegację po pogodę. Chyba im się udało. Czulem się jak ważna persona witana przez tłumy na dworcu kolejowym. Orkiestra, przemowy, dzieci z kwiatami. Kroczyłem zatem dostojnie, rozdając ukłony na lewo i prawo.

Skowronki wtapiały swój świergot w błękit nieba. Nie wiem czy w ogóle jest możliwe lato i zboże bez skowronków. To jak las bez wilgi, jak nocne niebo bez gwiazd. Furkotały czasem niespodzianie koło uszu, przelatując przez drogę. Zdawało się wtedy, że to nie ptak a kamyk rzucony przez wiatr.

Patrzyłem czasem w górę, w niebo, na tę gigantyczną przestrzeń która tak umie wabić. Można się zapomnieć na amen gapiąc się w niebo, lecz to najczęściej zdarza się leżącym wygodnie na trawie a nie maszerującym. Idąc, za długo nie można zadzierać łba do góry, bo grozi to wywinieniem, tak zwanego orła. Mimo to, na chwilę chociaż, podnosiłem oczy swe niebieskie do sukienki Twojej niebieskiej. Ścieliła się nienagannie, jak przed balem, ani jednej zmarszczki. Puszyła się swoim błękitem, popisywała się przed ziemską zielenią i złotem: co to nie ona. Istna rewia mody.

Oddychałem pełną piersią, lekko i przestronnie. Nic we mnie nie drżało, nic nie trzęsło się i nie wierciło się niecierpliwie. Byłem cudow-

nie spokojny. Stan, o którym marzy się, na który żałośnie dybie się i poluje w pewnych kręgach, a to za pomocą pieniędzy, a to za pomocą jakiś chemicznych świństw, zwanych szumnie lekami, witaminami czy narkotykami, tutaj rozpościerał się dookoła, niczym bezpańska dolina zasypana diamentami. Można było brać. Czerpaliśmy pełnymi garściami – do plecaka, do kieszeni, za koszulę, do ust. Brodziliśmy w bogactwie.

Znowu otworzyły się łąki. Zboże zatrzymało się nagle pochyliwszy się pod niespodziewanym podmuchem. Duchy przeszłości, kręcące się zawsze gdzieś obok, zastąpiły nam drogę. Wśród pola stał samotny, zrzucony budynek, przykurczony z porozrywanymi bokami. Resztki czerwonej dachówki, jak plamy zaschniętej krwi, wały się pod murami. Kiedyś musiało tu być inaczej, kiedyś do dworku prowadziła wysadzana kasztanami aleja, kiedyś zajeżdżał tędy powóz z wesołą gromadą, kiedyś... Minęliśmy go jak pociąg mija zwalone drzewo.

Uszliśmy kilka kilometrów. Droga prowadziła w górę. Wspinała się na któryś tam, kolejny polodowcowy garb, wyciskając z nas siódme poty. Postanowiliśmy na szczycie odpocząć trochę i rozejrzeć się panoramicznie. Wdrapaliśmy się wreszcie i z ulgą rzuciliśmy plecaki.

Rozejrzałem się szeroko. Staliśmy na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok niemal po horyzont. W oddali, aż po kres widnokregu, ciągnęły się lasy. Ich gruby kożuch przykrywał szczelnie ziemię. Z tego miejsca, ze szczytu wyglądały trochę jak mech lub trawa.

– Zobacz ... – powiedział wolno Radek – bunkry.

U stóp, w dole, ścieliło się pobojuwisko. Pędząc na złamanie karku ku drzewom, turlała się poorana i pokąsana lejami po dawnych eksplozjach łąka. Duchy historii, jak sępy, znowu krążyły nad głową. Ziemia, pogryziona nieregularnie przez pociski, zmieszana z resztkami betonu i poskręcany, stalowymi pajakami wyglądała jak chora. Pajęcze, martwe odnóża, będące kiedyś zapewne częścią zbrojenia sterczały trupio, przysypane do połowy piachem. Ktoś próbował nieszczęsny kawałek poletka zaadoptować na pastwisko, trawa jednak niechętnie zbliżała się do zastygłych bunkrów, podpełzała niemrawo, jakby z obrzydzeniem. Rosła rachityczna i wystraszona. Broniący fortecy musieli dostać od południa. Artyleria waliła równo, bez przerwy, aż wreszcie zmiotła z powierzchni co stało jej na drodze.

– Popatrz tam – pokazał Radek na skraj zagajnika.

Prawdopodobnie spoczywali tam ci co trwali do końca. Pościągano ich potem z okolicy, ułożono jeden obok drugiego, zabrano co się dało i położono do wspólnej mogiły. Spory kopiec obłożony dodatkowo kamieniami wyróżniał się na tle równej akurat w tamtym miejscu łąki.

Skazani na zapomnienie wyrwali się jednak ze szponów, bowiem ktoś z okolicznych chyba, w geście chrześcijańskim, wyrwał wrogom na drzewach, po obu stronach mogiły, pociemniałe już krzyże.

Staliśmy i patrzyliśmy ponuro przed siebie.

Pojechaliśmy także oczami na zachód, tam dokąd zmierzaliśmy. Przecierałem kilka razy oczy ale, mimo wysiłku, nie zobaczyłem upragnionej, błękitnej toni.

– Co jest do cholery, chyba nie zabłądziliśmy?

– Daj no jeszcze raz mapę, coś tu się nie zgadza. – położyliśmy wysłużoną płachtę na trawie i przykładając busolę orientowaliśmy ją z terenem. Wszystko wskazywało na to, że jezioro Zimoz powinno rozpościerać się niedaleko, po lewej stronie. Tymczasem właśnie tam przeżyła się potężna ściana lasu.

– Nie ma rady – rzekłem – musimy walić na przelaj, aż w końcu woda zagrozi nam drogę. Nie widzę innej rady.

– Jasne. To jezioro jest takie długie, że wcześniej czy później musimy na nie trafić. Mapa chyba jest niedokładna.

Wstałem. Otrzeptałem z piasku spodnie, pociągnąłem łyk z manierki, złożyłem mapę klasycznie na osiem i wepchnąłem ją do bocznej kieszeni. Jeszcze raz popatrzyłem na tarczę busoli, żeby zapamiętać mniej więcej azymut i chwyciłem ręką za szelkę plecaka. Pomagając sobie kolanem, podniosłem w górę wyprawowy dobytek i z rozmachem zarzuciłem go na plecy. Podopinałem pasy, poprawiłem ramiączka, busolę przewiesiłem przez szyję i włożyłem ją do serdecznej kieszeni koszuli. Jeszcze jedno spojrzenie na buty, czy aby dobrze zasznurowane, jeszcze klepnięcie w kieszeń czy są papierosy na drogę, i wtedy dopiero postawiłem pierwszy krok. Niezmienna ta procedura powodowała we mnie często pewien rodzaj uniesienia. Nie jakieś podniosłe mrowienie w karku, czy mgłę zadumy w oczach. Nie. Nic z tych rzeczy. Ot prostą świadomość wspólnoty ze wszystkimi piechurami tego świata.

Ruszyliśmy zdecydowanie. Słońce dawno minęło południe, wydłużyło trochę cienie, lecz wciąż grzało mocno na dziewiczo czystym niebie. Szliśmy bardziej odkrywczo niż do tej pory. Pora nagliła a nam się śpieszyło do wody. Śpieszyło nam się do cudownego, nadjeziornego biwaku, do skwierczącego ogniska, do plusku rzucających się ryb, do szumu sitowia, wreszcie do kąpieli w chłodnej toni. Stawka była wysoka, było o co się ścigać.

Prędko zeszedliśmy ze wzniesienia i dopadliśmy skraju lasu. Droga odbijała w niepomysłnym kierunku, więc niewiele myśląc, wkroczyliśmy w leśny odmet. Trzeba było teraz stawiać kroki ostrożniej niż na dukcie. Omszałe pnie, powalone wiatrem drzewa i bezpańskie gałęzie,

tajemnicze rowy i wykroty, mrowiska, smagające po twarzy krzaki i potężne sosny powodowały tradycyjny, traperski slalom. Ręce miałem swobodne, toteż kiedy wchodziłem w młodą dębinę czy leszczyne, przytrzymywałem witki, żeby nie były w podążającego za mną Radka. Szedł w bezpiecznej, co prawda, odległości i nic mu się stać nie mogło, lecz taka jest leśna etykieta, taki jest leśny savoir-vivre, którego należy przestrzegać.

Po raz kolejny, idąc, uświadomiłem sobie ciekawe fizyczno-parapsychologiczne zjawisko. Otóż zdarza się, że gdy kroczę ciężko na wyprawie, nie czuję zmęczenia. Nie dosłownie, oczywiście, bo czasem trzeba pokonywać wzniesienia, forsować strumienie czy przesadzać różne doły i wtedy, fakt, trudno oddech złapać równy, ale chodzi o to, że tak naprawdę, czuję kilometry w nogach dopiero, gdy zatrzymam się na popas, wtedy dopiero, gdy uświadomię sobie, że nie idę a stoję lub siedzę. Kiedy idę po równej czy nierównej drodze, to jakby dodatkowe skrzydła mi pomagały, oprócz mych własnych. Ktoś tym steruje, ktoś tym zarządza w czasie marszu – ja się mogę wyłączyć, oczy zamknąć mogę na przykład, lub zasnąć nawet – a nogi same prowadzą. Nie zawsze się tak zdarza ale jednak. W puszczy sosnowej najczęściej.

Szedłem omijając kolejne puszczańskie przeszkody i wyglądałem niecierpliwie upragnionego prześwitu między gałęziami. W naszym przypadku mogło to oznaczać tylko jedno – jezioro. Zerkalem w górę, między korony ale zwarte, przystające do siebie sklepienia drzew, przysłaniały niebo. W tej chwili bliżej było do runa niż do nieba, inaczej niż zwykle. Mijaliśmy zastępy jagód, czerechy malin. Czasem zatrzymywaliśmy się skuszeni obfitością i zrywaliśmy pełne garście. Dziękił stukał cierpliwie jak gdyby wybijał rytm. Wtórował mu cichy chrzęst naszych kroków i nawoływanie zazuli. Śpiewała wilga wlewając w duszę słodki syrop radości.

Wreszcie zaczęliśmy coś czuć. Coś nieuchwytnego, snującego się nierealnie w powietrzu, podpowiadało wszystkim zmysłom, że woda już niedaleko. Nie było jeszcze nic widać, żadnych przejaśnień w lesie, nic, tylko to przecucie. To jest stary potwierdzony fakt, że duży zbiornik wodny da się wyczuć. Wspominają o tym różni podróżnicy i ja się z tym absolutnie zgadzam. Siedzi w nas coś takiego jak w różdźce radiestety. Porozumieliśmy się oczyma. Przeszliśmy jeszcze ze dwieście metrów i daleko w dole, bo teren w tamtym miejscu opadał delikatnie, ujrzelśmy pustą przestrzeń za koronami drzew.

– Jest ! – krzyknąłem.

Zerwaliśmy się do biegu. Pędziliśmy jak wariaci, drąc się nie wiedzieć czemu. Cudem wprost unikając kontuzji, przeskakując przez różne zwaliska i sadząc długimi skokami, wreszcie dopadliśmy brzegu.

Stało przed nami jeziorko. Nie tego się spodziewaliśmy. Miała być wielka połać błękitnej toni a tu małe leśne jeziorko. Wysoki brzeg opadał stromo aż do przejrzystej wody. Nieliczne szuwary stały po kostki pośród mnóstwa większych i mniejszych kamieni leżących na dnie. Las schodził do samej wody i wyglądało to tak, jakby zbiegał do wodopoju, dając tym przykład całej okolicy. Stałem i patrzyłem. Potem zsułem buty i ostrożnie wszedłem do wody. Była cieplejsza niż w strumieniu, ale zanim stopy się przyzwyczyły, upłynęła chwila. Zacerpnałem rękoma i zacząłem pić. Potem, bez żadnych ceregieli, zanurzyłem weń całą głowę.

Trochę potem, kiedy już w nas ostygło, zaczęliśmy się rozglądać i dokładniej badać brzeg.

– To jakieś leśne oczko.

– Nawet na mapie nic takiego nie ma. – Radek puszczał kaczki i głośno mówił. – Zostajemy tu czy idziemy dalej?

– Nie wiem. A co jest tam, po prawej stronie?

Wszędzie wokół stały zwarte lasy, natomiast niewyraźnie było widać prawy brzeg. Najpierw chcieliśmy wdrapać się na któryś z wysokich świerków, żeby zorientować się w terenie, ale nagle usłyszeliśmy wyraźne stukanie.

– Ktoś rąbie drzewo. – zastygłem i wyostrzyłem słuch – Nad jeziorem, woda niesie.

Spojrzeliliśmy po sobie i wycofaliśmy się do boru.

– Co robimy?

– Chodźmy, może to jacyś drwale albo co. Dowiemy się gdzie nasz Zimoz.

Ruszyliśmy wzdłuż brzegu. Ledwo widoczna, wijąca się ścieżka, prowadziła tam skąd dochodziło rytmicznie walenie siekiery. Las znowu zaczął się przerzedzać. Niewidoczna część jeziorka okazała się małą zatoczką. Ku naszemu zdziwieniu zobaczyliśmy kilka dużych, zielonych namiotów, wokół których poruszali się ludzie. Fachowo rozbite enesy stały tuż nad wodą. Opodal wznosiła się rozpoczęta acz nieukończona jeszcze budowla. Kilku chłopców nosiło solidne bale, dwóch innych siekierami ostrzyło ich końce. Budowali coś w rodzaju zadaszanej palisady.

– Co jest u licha, co to za towarzystwo?

Zeszliśmy wolno i zatrzymaliśmy się przed obozowiskiem.

– Dzień dobry – zwróciłem się do stojącej przy namiocie dziewczyny – Przepraszamy, wiecie może jak dojść stąd nad jezioro Zimoz?

Przyjrzałem się bliżej kręcącej się ekipie i uzmysłowiłem sobie, patrząc na zielone mundurki, że trafiliśmy do budującego się harcerskiego obozu. Młodzież krzątała się wokół.

– To niedaleko stąd, dosłownie pięć minut drogi. Trzeba iść tą dróżką.

Zauważyłem, że nieco z tyłu, harcerze zdążyli zbudować niewielki pomost. Kusił, żeby posiedzieć na nim i wykapać się. Zapytałem czy możemy tam trochę odpocząć. Harcerka poszeptła chwilę z przechodzącym obok chłopakiem i ten skinął głową, patrząc na nas podejrzliwie. Przeszliśmy kilka kroków i stanęliśmy nad wodą. Zrzuciliśmy plecaki i siedliśmy na kei. Zapaliliśmy po papierosie i kątem oka podglądaliśmy pracujących harcerzy. Robota nie szła im najlepiej, ciosający pale nieporadnie wywijali siekierami. Wiedziałem, że Radek długo tego nie wytrzyma. Wstał i podszedł do jednego z rąbiących.

– Co, kwaterka? – słyszałem jak zapytał.

– Tak – odpowiedział tamten nie przerywając.

– Kiedy zjeżdża obóz?

– W piątek.

Jakbym usłyszał słowo znane mi kiedyś a teraz zupełnie zapomniałem. Co to znaczy: w piątek? Na wyprawie nigdy w ten sposób nie mordo- wałem dni. Na wyprawie rozumiałem tylko: dziś, jutro, za kilka dni.

– Tak... – Radek przyglądał się furkoczącym wiórom. Obok leżała sterta nieociosanych bali. – Co robisz?

– Kuchnię budujemy.

– Mogę spróbować?

Młody druh męczył się wciąż nad tym samym drągiem. Otarł ręką pot i wręczył Radkowi siekierę.

– Masz – powiedział.

Radek wziął ją w garść i uśmiechnął się delikatnie. Poruszał ręką obuch i rozejrzał się. Na ziemi leżało sporo drzazg, pozostałości rąbania. Podniósł jedną i przymierzył. Chwycił tkwiącą obok saperkę i zabił siekierze potężnego klina. Spróbował potem parę razy, czy dobrze trzyma i podszedł do napoczętego pala. W kilkanaście sekund zaostrzył go jak należy. Potem brał inne ze sterty i po kolei, wzbudzając podziw okolicznych, błyskawicznie ciosał je jeden po drugim. Wokół niego stanęła grupa ciekawskich. Kiedy skończył, bez śladu zmęczenia, oddał siekierę oniemiałemu harcerzowi i wrócił do mnie na pomost.

– Dzięki... – rzucił niemrawo tamten. Stojący obok wybuchnęli gromkim śmiechem.

Od tamtej chwili staliśmy się popularni. Podchodzili do nas chłopcy i próbowali nawiązywać rozmowę. Niby przypadkiem zaczęły przechodzić obok harcerki, oczywiście poprawiwszy wcześniej ukradkiem włosy, i co trochę któraś prosiła, żeby jej pomóc przy nabieraniu wody. Byliśmy w centrum uwagi. Wykorzystaliśmy wreszcie moment ciszy i rozebraliśmy się do kąpieli. Powiedziano nam, że za pomostem jest głęboko. Kryje parę razy – jak wyraził się jeden. Pochlapaliśmy się odrobinę, żeby ciało przyzwyczać do temperatury i wskoczyliśmy w błękitnozieloną toń. Miałem wrażenie, że całe zmęczenie, cały wędrowny znój, zostawiłem nad powierzchnią. Płynąłem pod wodą z szeroko otwartymi oczami, starając się dostrzec dno, lecz rzeczywiście, musiało być tam głęboko, bo nic nie udało mi się zobaczyć.

Wypląnąłem i przewróciłem się na plecy. Leżąc patrzyłem na niebo. Na jego jasnym tle fruwały dwa żurawie. Majestatycznie poruszały skrzydłami i zupełnie niezależne, pruły przez niebiosa jak uosobienie wolności i spokoju. Pomyślałem sobie wtedy, że kto wie, może i one, patrząc w dół, dostrzegły nas, bezwładnie unoszących się na falach i pomyślały, to samo, co ja o nich.



Nie zostaliśmy na noc z kwaterką. Zapraszali nas, mówili że stoją wolne kanadyjki, że będzie ognisko i tak dalej. Wymówiliśmy się napiętym planem podróży. Poczęstowano nas herbatą i kanapkami, poza tym dostaliśmy dwa chleby. Mogliśmy wziąć więcej ale nie było sensu dźwigać, po jeden na łeb to akurat. Zbliżał się wieczór i zamierzaliśmy dotrzeć na biwak przed zmierzchem. Młodzież patrzyła na nas zachłannie, każda płęć w inny sposób: drużyny przyglądały się zalotnie a druhowie z podziwem. Co oni w nas widzieli?

– Dziś już dwa razy za darmo dostaliśmy chleb – powiedział Radek kiedy znów zanurzyliśmy się w las.

– To dobry znak. Duch mąki czuwa nad nami – śmiejąc się ruszyliśmy ścieżką wskazaną przez harcerzy.

Nie szliśmy długo. Po pięciu minutach stanęliśmy nad jeziorem. Patrzyłem przed siebie i byłem jak odurzony. Cicho szumiały uderzające o brzeg falki, cicho gadały wiszące nad wodą gałęzie. Drugi brzeg stał daleko i wabił, chciało się rzucić i płynąć. Stałem i roiłem sobie, że tam, po drugiej stronie, musi być dziko, pięknie i niedostępnie, choć wiedziałem, że z kolei nasz brzeg, widziany stamtąd, wygląda tak samo.

Słynny krajobraz, śniący mi się tyle razy, tyle razy przywoływany, jawił się teraz w oryginale. Ściana puszczy pochylała się lekko nad wodą,

jakby zdziwiona swoim odbiciem. Tuż nad lustrem, pas trzciny sięgający drzewom do kolan, wychylał się jak zboże poruszane wiatrem. A nad Twoją koroną Sosenko, jaśniała słoneczna aureola. Wchłaniałem każdą porą ciała, syciłem oczy i płuca, brałem na zapas, na później, na te piekielne dni co przyjdą, na ten okres ciemny i zawsze dla mnie niepojęty, gdy nie ma mnie tutaj, gdy marzę tylko i pławię się we wspomnieniach, po to tylko, żeby znowu wrócić, znowu się sycić, bo energia się wyczerpie, w pewnym momencie skończy się, szlag ją trafii, spali się doszczętnie w tyglu tamtym okropnym. Znowu wtedy zaczniesz mnie wołać do siebie a ja pójdę jak zaczarowany.

Brzeg, nad którym staliśmy, w tym miejscu był jeszcze bezludny. Nie był cywilizowany. Wiedzieliśmy, że dalej rozciąga się inny rejon – cywilizowany. Żywiol ludzki gnany przez pierwotny, opętańczy, plemienny pęd, jak szarańcza, obsiadł jezioro od wschodu. Jeszcze nie było słyhać szarańczy, jeszcze nie dolatywał rytmiczny poszum pracujących żuwaczek, miażdżących, jak leci, trawę, drzewa, wodę, gałęzie, jeszcze nie pachniało odchodami ze strawionego. Bałem się na samą myśl.

Ścieżynka wiodła kręcąc tuż nad wodą. Wydeptali ją pewnie wędkarze, chadzający na codzien raczej z chlebakami niż z plecakami. Szliśmy dość prędko, łapiąc od czasu do czasu równowagę. Wysoka, lesista skarpa wyrastała obok.

– Wejdziemy? – zawołałem.

Radek, który kroczył przede mną wyciągnął rękę do przodu.

– Tam, zobacz, przed nami, robi się szerzej.

Zasłaniał mi swoją potężną postacią, więc nie mogłem widzieć. Jednakże upłynęła chwila i ja mogłem swobodnie patrzeć przed siebie. Skarpa powoli równała do ścieżki, wreszcie zjechała do tego samego poziomu. Zrobiło się przestronniej, nie szliśmy już gęsiego lecz podwójną tyralierą. Ramię w ramię. Rozumiałem, że zaraz wkroczymy na obcy teren. Pocieszałem się w skrytości ducha, że jest jeszcze trochę za wcześnie na totalny zalew gawiedzi. Za kilka dni może, kiedy lipiec obejmie panowanie i wybije słynny “pierwszy”, to może wtedy dopiero ruszy tajfun i nadejdzie wysoka fala.

Szliśmy rozglądając się podejrzliwie. Daleko wśród drzew zamigotało coś czerwono. Im podchodziliśmy bliżej, tym wyraźniej rysował się kształt namiotu.

– Są jednak, krawaciarze.

– Ale jakby coś mniej.

– Chyba jeszcze nie zdążyli zjechać.

Mijaliśmy pierwszy namiot. Teraz stał najdalej od centrum, zapewne został rozbity niedawno, dlatego stał samotnie na skraju. Jutro, lub

jeszcze dziś wieczorem, ktoś ustawi się za nim, potem znowu ktoś i ktoś, i tak z romantycznej samotności nici. Dotąd nie można było dojechać samochodem, więc obok nic nie parkowało. To było jeszcze pocieszające ale reszta – krawaciarski standard: linkami już ogrodzono podwórko, stolik i krzeselka, kątem oka dostrzegłem czajnik. Szliśmy dalej mijając coraz więcej kolorowych namiotów. Zaczęły pojawiać się pierwsze samochody i przyczepy. Kiedyś marzyłem o takiej mieszkalnej przyczepie, że niby można pomieszkiwać jak w domu ale przeszło mi bardzo szybko – po prostu gigantyczna kotwica..

Szarańcza uwijała się pracowicie. Snuł się zapach smażonego oleju, gazu z butli, pitraszonych potraw, przez biwakowisko przebiegały tabuny drących się dzieciaków, nad wodę ciągnęły matki z furami brudnych talerzy, ojcowie podążali na wieczorny połów, synowie podążali na wieczorny podryw, córki wylegały na wieczorny spacer demonstrując swoje wdzięki. Dolatywał huk siekier i trzask pękających gałęzi, siono flaszki i drewno, ustawiano radia i magnetofony, rozkładano przeróżne siedziska i leżyska, do chłania gotowali się młodzi gniewni, do chłania gotowała się starszyzna obozowa, niósł się głupekowaty, piskliwy śmiech w ciemniejszą koronę lasu.

Jak dwa duchy nawiedziliśmy tę krainę. Niczym dwa tarany przebijaliśmy na wylot obóz. Schodzono nam pokornie z drogi, nawet jakby z pewnym przestachem, odwracano za nami głowy i coś szeptano, gasły na nasz widok śmiechy, unosiło się w powietrze milczenie. Nawet mi to się podobało. Czuliśmy się trochę jak dwaj rewolwerowcy wkraczający do miasteczka na Dzikim Zachodzie. Celowo stroiłem groźne miny i omiatałem wzrokiem przyglądające się twarze. A w duchu pękałem ze śmiechu.

Powoli mijaliśmy centrum. Rzeczywiście, główna fala jeszcze nie nadeszła, wystarczyło jednak, żeby okolica nasiąkła bazarową atmosferą. Mijaliśmy domy, wille, pałace, wieżowce, gmachy, wiadukty, autobusy, szkoły, boiska, ronda, autostrady, kościoły, katedry, fabryki, kominy, węzły komunikacyjne, przejścia podziemne, przejścia naziemne, lotniska, porty, wieże, wszystko. Wszystko co przyjechało wraz z właścicielami.

Zdziwiłem się trochę, kiedy zobaczyłem świeżo przybyłych, rozbijających obóz, praktycznie w samym środku – na rynku tuż pod ratuszem, mówiąc miejskim językiem, albo może lepiej – na środku skrzyżowania. Widocznie lubili to jak inni samotność.

Szliśmy nie pasując do otoczenia i kłując w oczy tak zwanych turystów. Wreszcie zostawiliśmy za sobą ostatnie slumsy i wyszliśmy na prostą.

– Chodu! – wrzasnąłem i puściliśmy się biegiem.

Truchtaliśmy jakiś czas, dzwoniąc menażkami w plecakach. Nie wygodnie się biegnie z kilogramami na plecach, więc był to trochę bieg symboliczny, dla lepszego morale, jak mawiają wojskowi. Zmęczeni dopadliśmy drewnianej wiaty. Wyrosła niespodziewanie, stojąc trochę z boku ścieżki, mało na nią nie wpadliśmy. Była, o dziwo, zadaszona i przestronna. W środku stał potężny stół i dwie ławy. Z trzech stron ustawiono ściany z bali, czwartej strony nie było – pełniła rolę wejścia. Rozejrzałem się łakomie i przyszła mi do głowy pewna myśl. Zamierzaliśmy z Radkiem odnaleźć w lesie jakiś paśnik i tam przenocować a tu, proszę, znaleźliśmy prawdziwy pałac.

– Ty a może byśmy tu przekimali?

– Tak – kiwnął głową Radek – to przecież coś dla nas.

Po drugiej stronie jeziora słońce chyliło się ku zachodowi. Za całą godzinę rozpalony polik dotknie ściany lasu. Kiszki mi grały regularnego marsza. Teraz dopiero poczułem głód, wcześniej odganiałem go papierosami i sucharami ale teraz nie było siły. Głód wył z głodu. Wydobyłem dwa słoiki “Fasoli z wołowiną”, Radek pokroił chleb. Nie rozpaliliśmy od razu ogniska, żeby podgrzać strawę, tylko wyciągnęliśmy niezawodne węglowe pastylki. Tak jest szybciej, po co niepotrzebnie czekać? Prawdziwy ogień zapalimy trochę później, o zmierzchu. Przełożyłem zawartość do menażek, wziąłem swoją w garść i trzymałem nad małym płomyczkiem. Patrzyłem jak nieruchawa, jasnoczerwona masa najpierw puszcza maleńkie oka tłuszczu, potem większe, aż wreszcie zaczyna bulgotać jak magma. Zamieszałem parę razy, posmakowałem dla zbadania temperatury i zdmuchnąłem ogień. Złapałem pajdę chleba, usiadłem na ściółce po turecku, garnek wsadziłem między nogi i patrząc na jezioro zacząłem jeść.

Słoneczna tarcza lśniła czerwono lekko opadając na lasy i wyglądało to nie jak słońce ale jak piłka bogów, albo jak balon ciągnący ze sobą w koszu kilku aniołów. W wodzie mieniło się nieskończenie wiele odbłasków, pluskało coś nieśmiało w trzcinach, gadało niewyraźnie i niesło po jeziorze. Nadchodziła noc. Drobnica uciekała przed okoniami i rzucała się niespokojnie. Czasem pacnęło o wodę coś większego, zostawiając rozchodzące się kolidacje fale. Furkotały lecące nad powierzchnią jaskółki, wypadały na chwilę z lasu, pikowały jak myśliwce i wracały z powrotem.

– Pogoda żyłeta, nawet jednej chmurki – Radek rzucił mi papierosa.

– Wiesz co... – zacząłem mówić przypalając ale nie skończyłem, machnąłem tylko ręką, że nie ważne.

Usłyszeliśmy cichy warkot. Niedaleko nas zatrzymał się samochód. Z przestronnego busa wyskoczyło kilka osób – dwie pary w średnim wieku. Obeszli kilka razy wybrane miejsce i zaczęli wyładowywać sprzęt.

– No to mamy gości – powiedział przeciągle Radek i wypuścił z ust kilka kółek dymu.

Może gdybyśmy mieli trochę czasu, odeszlibyśmy gdzieś dalej, ale było już późno i żal nam było dobrego miejsca, więc zostaliśmy. Wstałem i zaniósłem menachy do jeziora. Zalałem wodą i zostawiłem je jak zwykle na noc, niech odmokną – jutro się umyje. Radek przyciągnął kilka gałęzi i łamał je na kolanie. Z rosnącego obok świerku zerwałem kłaba. Zanim jednak wznieciliśmy ogień, ułożyliśmy legowiska.

Ruski składany hamak, który dostałem kiedyś w prezencie, rozpiąłem na dwóch drewnianych filarach podtrzymujących wiatkę. Rzuciłem nań śpiwór i rozłożyłem moskitierę – komary też zaczynały wieczorne łowy. Radek wcisnął pod karimatę kilka świerkowych gałęzi, śpiwór okrył dodatkowo pałatką. Plecaki spętaliśmy linką i ułożyliśmy w naszym najbliższym sąsiedztwie. Gdyby mieli kraść najpierw by nas obudzili. Przygotowałem czystą menażkę, wyciągnąłem cukier i herbatę. Radek zszedł do jeziora i przyniósł wodę. Wszystko było gotowe, więc sięgnąłem po świeczkę. Zapaliłem ją ostrożnie i przytknąłem do kłaba, ogień poszedł błyskawicznie, wdrapał się na czubek ułożonej przez nas konstrukcji i strzelił jasnym płomieniem. Zdmuchnąłem świeczkę i postawiłem ją na stole obok hamaka. Przyda się gdy będziemy się układali do snu.

Usiedliśmy wprost ognia. Na dworze wciąż było widno, mimo że słońce schowało się już za ciemną linię drzew. Wpatrywaliśmy się lekko zahipnotyzowani w zajmujące się coraz drwa. Buńczuczny zrazu ogień przygasł nieco, jakby speszony naszą obecnością, lecz pokonał treść i radził sobie śmieiej. Najpierw przespacerował się delikatnie po patykach, badając z kim mu się przyjdzie zmierzyć, potem pewny swego, usadowił się wygodniej i przypalił sobie i nam papierosa. Święta, traperska zasada mówi, że siedząc przy ognisku nie można inaczej zapalać papierosa jak wprost od ognia. Buzowało się coraz lepiej. Po raz kolejny nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oto przed nami jaśnieje słoneczna scheda. Ilekroć siedzę przy ogniu, mam wrażenie, że słońce które dniem zmęczone spać idzie, zostawia trochę siebie w takiej postaci. Korzystaliśmy łączywie z owego dobrodziejstwa i jak dwie planety po swych orbitach wciąż krążyliśmy wokół. Duchem i ciałem.

Ognisko rozpalilo się na dobre, zgasła natomiast okolica. Wrzuciłem w płomienie szyszki i patrzyłem jak najpierw skręcają się kon-

wulsyjnie i potem strzelają w niebo snopem iskier – żalosna historia niejednego życia. Siedziałem i patrzyłem. Okrutna jakaś nostalgia chwyciła mnie za gardło. Smutek wylał z ognia, przygniótł do ziemi i jak trujący dym zaszczywał w oczy. Przypomniało się. Znowu, jak mara, wróciło do mnie.

Podobno najpierw na długo poszedł w góry. Na dzień cały. Potem, kiedy wrócił, wszedł do stodoły i powiesił się. Rano dopiero go znaleźli i gospodarz odciął go od belki. Powiedz dlaczego? Czy naprawdę dlatego, jak mówili, że z biedy, że dość miałeś nędzy – ta sama kurtka od lat sprana do granic, jeszcze od babci zanim umarła, ja wiem, i jeszcze ci z dobrych domów, co zawsze mają rano na świeże pączki, a ty ślinę przelaskasz z głodu. Czy dlatego, że ojciec przestał być twoim ojcem i okazał się kanalią? Ja wiem, nie ma Taty, nie ma Mamy, a kiedyś byli tak bardzo razem i kochali synka w okularach. Ja wiem i bardzo dobrze to rozumiem, ale czy to z tego powodu?

Tak, bieda jest straszna, gryzie po nogach jak wściekły pies. Ale przecież jest do pokonania, do zwyciężenia jest. Nędzna bieda. W sumie jest żalosna. Tylko trzeba ją bez zmrużenia powiek, z zimną krwią zakłuć. Nie pieniędzmi, nie bogactwem ale przepotęzną obojętnością. Zwyciężona nie groźna. Można z niej siłę czerpać nawet. Własną biedą wspomóc się można, podeprzeć czasami. Och, bliższa mi ona często niż te pieniądze nie moje, wydawane beztrudno przez kochanych synów i kochane córki swoich rodziców. Wolę własną biedę bo znam ją na wylot i wiem skąd się wzięła. Szczera jest i prawdziwa i tu jej wartość i tu jej cena. Bogata wtedy ta moja bieda.

Zdarza się, że nie mogę jasno spojrzeć na lazur jeziora bo jakbym widział jego okulary. Ten sam odcień. Tak stary, chodzisz za mną powietrzem a mógłbyś tu obok teraz siedzieć – widzialnie.

Nie znam większej ironii niż ironia wielkich pytań. Jakież to żalotne i śmieszne pytać o życie, o miłość, o śmierć, o Boga. Wielkie miłości nastoletnich smarkul, grafomańskie wiersze zakochanych, pogrzeby chomików albo zabawa w dom, bardziej cenne są. Bo tam już jest odpowiedź – sama esencja, sama z siebie, bez pytania, bez tej narzuconej życiowej goryczy, bez żadnego bagażu, mędrkowania, relatywizmu istnienia, doświadczeń, balastu pokoleń itd. Na wielkie pytania da się odpowiedzieć tylko w biegu i to na pewno nie słowami. Wielkie pytania wymyślili najbardziej nieszczęśliwi ludzie na świecie. Ja to dobrze rozumiem i kiedy je słyszę, słyszę całe ludzkie nieszczęście.

W menażce, którą zawiesiliśmy nad ogniem zaczęło bulgotać. Radek wstał i zdjął ją na ziemię. Wsypał herbatę, mieszał wolno czekając aż się zaparzy, potem posłodził. Rozlaliśmy do błaszanych kubków.

Zanim się napiłem rozgrzany metal przyłożyłem do czoła. Wyrwałem się z zadumy. Spojrzałem w górę. Między sosnowymi sukienkami lśniło rozgwieżdżone niebo. Od jeziora wiał ciepły wiatr. Gdzieś, hen daleko, po drugiej stronie skakał żółty ognik, tam też płonęło ognisko.

Co jakiś czas dolatywały nas urywane rozmowy naszych sąsiadów, śmiechy najczęściej. Towarzystwo obsiadło zastawione trunkami stoliki, przyświecając sobie gazową lampą. W ten sposób wabili wszystkie okoliczne komary. Nie mieli namiotu. Bus, którym przyjechali skutecznie go zastępował. Słyszałem wyraźnie:

– Tak, Hiszpania to nie to co tutaj.

– Tylko, że drogo, bardzo drogo.

– No, jeśli kogoś stać ...

– A wiecie, podobno Masłowski pojechał do Grecji i niedużo go wyniosło.

– Masłowski? Ten baran? On i Grecja! Przed szefem pewnie tylko tak gadał. To wredota.

– On to potrafi w dupę włożyć. Fakt.

– Pojedziecie przez Portugalię?

– Ja nie wiem. Mariusz, pojedziemy przez Portugalię?

– Co, polej Janek, przez co?

– Dobra, nie ważne, zdrowie! Żeby wam się podróż udało!

– Zdrowie!

– ...

– Co to za wódeczka?

– No, mówiłam wam, wujek ma dostęp do spirytusu. Jakiś szpitalny czy leczniczy. Moczą w nim miętę w takich dużych basenach. Po pół ceny sklepowej sprzedaje. Nieźle co?

– Pycha. Jak on to wynosi?

– Janek, oni jadą sobie do Hiszpanii a my musimy siedzieć tutaj w tym syfie. Widzisz jak Mariusz dba o żonę. Ty mnie w ogóle nie kochasz.

– Jola, daj mężowi spokój, za rok pojedziemy razem. Ale gryzą te komary!

– O, w Hiszpanii nawet komarów nie ma!

– Nie to co tutaj.

– Czasami jak się tak rozglądam i patrzę dookoła na ludzi, na te ryje, to mi się rzygać chce. Chamy i prostytutki wszędzie. Naprawdę momentami mam dość. Wciąż to samo, żadnej kultury, w robocie, na ulicy. Nawet na urlopie, cholera, komary gryzą. Ani lokalu dobrego w okolicy ani knajpy, tyle że te ryby a i też nie wiadomo czy będą brały.

– Napiszcie kartkę.

– Ach, tam musi być pięknie ... morze, plaża, panienki ...
– No, no, no!
– ... palmy, parasole, pogoda murowana, wschody i zachody słońca
... Bo ja jestem trochę romantyk ...
– Jasiu. Specjalnie dla ciebie zrobię zdjęcie zachodu słońca. A za rok sam zrobisz. Jasiu, ale kto by pomyślał...



Od jakiegoś czasu panowała zupełna cisza. Tłąca się impreza, wystraszona komarami, przeniosła się do samochodu i tam już zgasła. Leżeliśmy i czekaliśmy na sen. Wcześniej zalaliśmy żar wodą i jeszcze dla pewności, żeby nie odrodził się płomień, podepteliśmy go nogami. Było mi wygodnie. Hamak kołysał się delikatnie pode mną, zresztą pomagałem mu trochę, odpychając się od belki. Wcisnąłem na głowę wełnianą czapkę z pomponem, ranki pod gołym niebem bywają chłodne nawet latem, śpiworem okryłem się po szyję. Nade mną, jak baldachim, wisiała moskitiera, którą sam uszyłem z firanki. Radek leżał obok na karmacie a ponieważ było ciemno, czułem raczej jego obecność niż go widziałem. Jednak co nieco było widać, zwłaszcza kiedy oczy przyzwyczaiły się do mroku. Fruwały nietoperze i ciągnęły wzdłuż wiaty jeże. Poza tym dookoła spało, przynajmniej tak można było przypuszczać. Nagle ciemność pękła na kawałki, Radek zapalił zapalną i przypalił papierosa.

– Chcesz?

– Nie dzięki. – mruknąłem – Mam dość palenia na dzisiaj.

Zgasło. Znowu musiałem przysposobić oczy do nocy. Czarno było jak w kopalni. Powoli jednak odzyskałem wzrok w ciemnościach.

– Wiesz – usłyszałem Radka – spotkałem niedawno jednego faceta. Sprzedawał na ulicy psa, szczeniaka. Zapytałem go co zrobi jak nikt mu go nie kupi. Wiesz co odpowiedział – słyszałem jak uniósł się na łokciu – że go utopi. Wolał utopić niż oddać za darmo.

– Jakiś żul?

– Nie, taki głupi gadający i tępy wzrok do tego. Ten typ, sam wiesz.

– Ja to takich ludzi najwięcej widziałem w kościele i w teatrze. W kościele chyba więcej. Jak przy śpiewie ruszają ustami to rzeczywiście wyglądają jak ryby.

– Ciekawe czy utopił tego psa ...



Wstawał świt. Pełzł najpierw po cichu, na paluszkach, pomiędzy gałęziami. Trochę niezgrabnie jednak bo potracił pierwszym powiewem kilka sosnowych sukienek. Obudził ptaki. Speszony nieco tym niezamierzonym ruchem schował się w trzciny, te zaś rozbudzone i rozespiane wszczęły szum. Do rechwach przyłączyły się kaczki i perkozy. Przepędzony świt, trzymając w dłoniach pierwsze, poranne promienie, nie zważając już na nic, pobiegł w głąb lasu, ciągnąc za sobą olbrzymi latawiec słońca. Po drugiej stronie jeziora drzewa stały po pas we mgle. Z każdą minutą mgła cofała się, ustępując lazuruowi.

Zwlekliśmy się z wyrek i poszliśmy na brzeg. Zanurzyłem ręce i obmyłem twarz. Ranek nie częstował chłodem, czułem się wyśmienicie. Zaczęliśmy składać majdan. Radek wyjął menachy z jeziora i przecierał je piaskiem. Wstawiłem wodę, żeby pokrzepić się trochę rosółkiem a z boku rolowałem śpiwór. Wreszcie spakowani ułożyliśmy plecaki pod drzewem. Dopijałem gorący bulion i rozglądałem się po polanie. Jedyne ludźmi którzy w okolicy nie spali byliśmy my. Po dachu naszej wiaty pobiegła wiewiórka, zrzucając na ziemię kilka szyszek. Nami nie przejęła się zupełnie, pomyszkowała trochę na pustej teraz ławie, popatrzyła nam w oczy zwyczajnie, bez emocji i szurnęła w swoją drogę. To był wielki komplement. Byliśmy swoi, nie obcy, ta sama krew, ta sama glina. Pokornie, chyląc głowę przed majestatem, zarzuciłem na plecy wór i dałem pierwszy, dzisiejszy krok, pierwszy jednoznaczny, pewny, ciężko obuty, marszowy krok.

Nie zalana jeszcze do końca falangą biwacza polana pożegnała nas swymi rogatkami. Szliśmy jakiś czas pełną drogą zostawiając ścianę puszczy z boku. Wzbijające się powoli na nieboskłon słońce zaglądało w oczy. Mgła chowała się po lasach, zostawiając w zagłębieniach terenu swe niedobitki. Stożące gdzieś strachy na wróble przypominały pustelników, urzeczonych świtem przy zbieraniu ziół, wyprostowanych, zapatrzonych niemo przed siebie. Wiedziałem, że idziemy w miejsca utęsknione, że zbliżamy się do jądra, do bieguna dostępności. W powietrzu unosił się, niedostępny dla postronnych, odświeżny zapach drzew i pól. To na naszą cześć. Czekają na nas. Wzajemne utęsknienie.

Zazdrościłem sam sobie spokoju. Trochę jak lunatyk kroczyłem z podniesioną do słońca głową, wiedziony przez przyjazne siły. Co zrobić żeby już tak zostało? Muszę się jakoś wziąć w garść. Coś na kształt powstania z doliny umarłych. Czystość umysłu, czystość ciała, czystość zachowania. Czystość i przejrzystość bez mącenia. To jest chyba ta garść żelaznej dyscypliny, w którą muszę się wziąć.

Nogi niosły same. Stapałem niesiony przez podmuchy. Przez drogę przebiegło stadko saren i potem znowu wszystko się uspokoiło. Okolica skłaniała do zadumy. Należało patrzeć i kiwać głową.

– Poszukamy w lesie miejsca i tam zjemy śniadanie, co?

– No. Może nad tym drugim jeziorem, to tylko parę kilometrów.

Radek wciągnął głęboko powietrze i zaczął śpiewać. Nuciliśmy naszą piosenkę. Ze śpiewem na ustach, uroczyście, jak przystało na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, posuwaliśmy się naprzód. Trwało to dość długo. Śpiewaliśmy potem inne piosenki, wszystkie, które nam się akurat przypominały. Śpiewaliśmy na dukcie, potem w lesie, przy sprawdzaniu azymutu, przy podglądaniu mapy, przestaliśmy dopiero, gdy trzeba było zapalić pierwszego papierosa. Na ogół nie paliliśmy zaraz po przebudzeniu, dopiero potem, już w drodze, godzinę, dwie po wymarszu. Dziennie spalałem pół paczki, czasem więcej, czasem mniej. Tutaj papierosy smakują inaczej. Wiem, że jeśli kiedyś je rzucę, to i tak na wyprawie będę popalał. Nie da się tego porównać z kawiarnianym czy biurowym niepotrzebnym dymieniem. To jest coś innego. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Pierwszy odcinek trasy był trochę jak poranny spacer. Szliśmy bardziej gimnastycznie niż docelowo, dla ostatecznego rozbudzenia i masażu kości. Dość szybko wszedłem na wysokie obroty, serce, głowa, cała maszyna, wszystko, gładko zaczęło się kręcić, tryby niezawodnie poszły w ruch. Potrafiłem ogarnąć cały horyzont, naraz widziałem wszystko. Każde źdźbło, igliwie, pnie, konary, wyciągnięte gałęzie i skrecone krzaki, liście, szyszki, maliny, poziomki, kawały nieba nad głową, żagiew słońca nad koronami, dziuple, mrowiska, kolorowe sójki, ukryte wilgi i kukułki, jawne choinki i brzozy, zaczajone grzyby, ciepłe jeżyny. W jednej chwili wszędzie tam byłem, w jednej chwili wszystkiego dotykałem i w jednej chwili przestałem dotykać nogami ziemi. Rozfrunąłem się na dobre.

Z drogi zeszedliśmy już dawno. Mieliśmy z drogą nie po drodze, więc udaliśmy się w przeciwną stronę. Zapuszczaliśmy się głęboko w olbrzymią, zielononiebieską plamę na mapie, do której co rusz przytykaliśmy busolę. W tym rejonie coraz bardziej wyczuwałem odrębność. Szczęśliwa samotność okolicy emanowała kojącą aurą. Czuło się dostojność. Momentami miałem wrażenie, że za głośno stawiam kroki, nie wiedzieć czemu zaczęliśmy mówić szeptem.

Naraz drzewa rozstały się i ujrzeliśmy niebieską lagunę. Zeszedliśmy powoli na brzeg. Na naturalnej, wysypanej kamykami i żółtym piaskiem plaży, nie widziałem żadnego śladu. Nic, jak na dziewiczym obrusie. Od jeziora ciągnął rzeński podmuch i rozwiewał włosy. Dął rzeź-

wiać, niosąc świeży zapach. Jak na tronie usiadłem na zwałonym pniu i patrzyłem. nie mogłem się poruszyć. Zdało mi się, że ja to nie ja, że jestem jak drzewo albo kamień co obok. Daleko nad wodą szybował drapieżnik, był jak kropka nad i, dopełniająca ten statyczny krajobraz. Siedziałem w sercu puszczy, oglądałem jak knieja przegląda się w czystej wodzie, jak Sosenka poprawia włosy i uśmiecha się do mnie. Huczało w uszach od owadziego żywiołu.

Coś się zaczęło ze mną dziać. W ułamku sekundy ciemniej zrobiło się dookoła, ale gdybym serce swoje wyjął z piersi, plaża, las, wszystko stopiłoby się od żaru i jasności w jednej chwili, tylko moje ciało, nawykłe już do momentów, kiedy zapala się w nim słońce, jak pancerz chroniło od porażenia okolicę. Oczy jedynie mogły mnie zdradzić, swymi ogniami, swymi fontannami magnezji, toteż przymknąłem je lekko.

– O, chmurka ! Pierwsza od paru dni – Radek zadarł w niebo głowę – i parno się robi. Może będzie burza.

Spojrzał na mnie i umilkł, potem odwrócił głowę i zaczął ściągać buty. Nie mówił już ani słowa. Wszedł na bosaka do wody, napił się, rozejrzał jeszcze i nagle zdecydowanie zaczął ściągać resztę ubrania. Został wreszcie na nagusa i wydawszy z siebie dziki okrzyk, pędem rzucił się do wody. Chlapnęło na wszystkie strony. Radek młócił rękoma toń i płynął oddalając się od brzegu.

Wstałem ze swojego siedziska i to było jakbym się obudził. Jeszcze raz zobaczyłem Radka, rozpryskującego na wszystkie strony wodę. Zdarłem z siebie ciuchy i nie bacząc, że najpierw powinienem był się trochę pomoczyć, wbiegłem do jeziora. Wydało mi się, że usłyszałem syk, taki jaki dobywa się z wody, gdy kowal moczy w niej rozgrzaną do czerwoności stal. Studziłem się wewnątrz i na zewnątrz. Płynąłem z całych sił, aż do zmęczenia, ściagałem się sam ze sobą. Wreszcie zmęczony do granic, dobiłem brzegu. Ległem krzyżem na piasku, pozwalając falom lekko podmywać ciało. Byłem oczyszczony.

– Oj stary, czas śniadać bo już dłużej nie wydolę – powiedziałem dysząc do Radka.

– Dla mnie pieczony prosiak.

– Są gołąbki w sosie i klops z jarzynami.

– Co chcesz – machnął ręką – byle szybko, ja przyniosę drzewa, upieczemy te moje kartofle.

Prawda, kartofle, zupełnie o nich zapomniałem. Wcześniej umówiliśmy się, że ja wezmę cebulę a Radek pyry. Cebuli już trochę zużyliśmy lecz ziemniaczki czekały. W sumie dobrze, że o nich zapomnieliśmy, wczoraj pewnie byśmy je zjedli a tak, będą teraz, na deser.

Wciągnąłem spodnie i opalając plecy w czerwcowym słońcu, zabrałem się do pichcenia. Wyciągnąłem gołąbki, chleb i harcerski słoik z dżemem, z boku położyłem osiem kartofli. Nabrałem do manierki wody z jeziora, żeby było czym popić i ustawiłem na piasku maszynkę. Radek w tym czasie przyniósł kilka patyków i próbował rozpalic ogień.

I wiem to na pewno, że jedyne czego pragnąłem wtedy, siedząc nad jeziorem i ćmiąc papierosa, to nie spotkać żadnego człowieka. Modliłem się o to bezgłośnie patrząc na drzew zastępy. Ja Marcin Żyzny i Radek Puczaj to był jedyny tłum, który mógł jeszcze bezboleśnie i bezkrawwo deptać to święte miejsce. Lecz była to już górna granica.

Po jakimś czasie ogień skakał wesoło, trochę zdziwiony faktem, że przyszło mu płonąć za dnia. Dla nas to żadna nowina, częściej ogień służył nam do celów użytecznych niż rekreacyjnych. Teraz też. Radek, poczekawszy aż czerwony żar rozleje się po ognisku, rozgarnął mu wnętrzności i cisnął doń osiem kartofli.

– Dobra cyfra, będzie łatwo podzielić – powiedział podgarniając popiół patykiem – co z tymi gołąbkami?

Akurat przyszedł ich czas. Obsiedliśmy garncezek i sprawiedliwie, na przemian, zaczęliśmy wiosłować. Do samego dna. Dopchnęliśmy potem chlebem z dżemem, zapiliśmy wodą i po papierosie.

Na kartofle trzeba było jeszcze trochę poczekać. Pozmywaliśmy zatem prędko gary i spokojnie wyciągnęliśmy się przy ognisku. Minuty płynęły leniwie kapiąc niczym krople z niedokręconego kranu, słońce podnosiło głowę coraz wyżej, starając się zajrzeć nam przez ramię. Raz po raz Radek sprawdzał kijem stan naszego deseru, aż wreszcie przyszedł wielki moment, wygarnął osiem dymiących bulw na skraj paleniska. Rozszedł się błogi zapach. Chwyciłem pierwszą z brzegu.

– Dobrze się upiekły – przerzuciłem z ręki do ręki parzącego ziemniaka – Wyjmiesz sól? Jest w moim plecaku w wewnętrznej kieszeni.

– W tym białym papierze obok herbaty?

– Chyba tak, rozwiń. Jak słone to sól.

– Jest. Wiesz co, przesypie ją. Może się rozsypać.

Radek nasypał do rezerwowej fiolki białe złoto, jak sól nazywają Indianie, i rzucił ją do mnie. Chwyciłem w locie i zasoliłem kartofla.

– Pycha!

Radek trzymał jeszcze w rękę papier i przyglądał mu się.

– Marcin, tu jest coś napisane.

– Tak?

– To jest z listopada. Jakieś twoje zapiski. Zobacz.

– Nie, ty przeczytaj, na głos.

Radek rozprostował kartkę i zaczął.

1.40 (noc), czwartek, 4 listopada.

Myślałem przed chwilą jaki jest dzień, czy czwartek, czy środa, ale zegarek wyjaśnił wszystko. Jest czwartek. Bardzo ciężko ostatnio rozoznając się co do dnia, czy co do kalendarza w ogóle. Bo pracuję w takich dziwnych porach. Trudno mi się w tym wszystkim połąpać, która godzina, która noc, dzień który. Jest mi jak we śnie, znam to już dobrze, myślę sobie – śni mi się, marszczę czoło, macham głową w obie strony, żeby się obudzić i nic, wcale nie śnię, tkwię gdzieś, ostatnio w środkach lokomocji najczęściej.

Ostatnio też serce mnie boli mocno. Może bardziej często niż mocno. Czyżby zdrowie już nie to? Jednym z moich obecnych największych marzeń jest sen spokojny i długi, a jeszcze częściej marzę o cudownym z okna widoku. I szklance herbaty obok. Jezus, jaka to modlitwa jest, jaka liturgia. Ołtarz i komunia. A spełnienie za oknem. Tam drzewa, park lub las, ale las bardziej niż park, i sylwetka moja w starej kurtce, która już do wymiany, niestety, czas jej skończony, i widzę jak papierosa kopci, i lewą ręką za głowę się trzyma. Wszędzie wiatr i deszcz, wybaczenie że czasami o was źle myślę, i chłód fatalny, w którym wyczuwam zemstę jakiś złych duchów. I czemu ja to wolę sto razy niż ... – tu zamazane – A raj? Jest raj. Na wydmie za domkiem na Czerwonym Bagnie, na wznak, lipcową, wieczorową porą i gwiazd liczenie. Tak, to jest raj. Kończy się kartka, kończy się świat inny.

Zapadło milczenie.

– Wrzuć to ścierwo do ognia – powiedziałem po chwili.

Radek zgniótł papier w kulę i cisnął z rozmachem w żar. Buchnęło jasno na sekundę i zaraz wzbil się w górę zwęglony strzęp.

– Dawno nie byłem na Czerwonym Bagnie, ciekawe czy domek jeszcze stoi. – Radek zapatrzył się na frunący popiół.

– Jak byłem ostatnio to łątałem dach. Okienka też już przetrzebione, choć ogólnie nie jest źle – mówiłem i dojadłem swoje kartofle – rok temu, w tę suszę, wiesz, wyschła studnia i wody było ledwie na dnie. Brałem ją bo innej tam nie ma – kotłowała się w niej cała masa rozwielitek. Musiałem odcedzać przez worek od śpiwora. Chodziłem też, jak zwykle, do kanału, woda opadła z półtora metra, podobno niektóre zwierzęta topiły się przy wodopoju, nie mogły dosięgnąć pyskiem i wpadały, rozumiesz. Nad kanałem miliony much, wszystko spragnione, ssalo pot i krew.

A w domku mieszkałem razem z szerszeniami. Zrobiły sobie dwa gniazda, jedno u powały, drugie przy ziemi obok wejścia. Jeśli nadymilem za bardzo w palenisku to trzeba było wiać, zrywały się wściekle i krążyły niebezpiecznie. Czasami dochodziło do walki, kilkanaście z nich musiałem zabić, każdego trupa zaznaczałem szczerbą na desce. Kiedy patrzyłem potem na osy to chciało mi się śmiać, wydawały się łagodniejsze od komara. Szerszeń to perfekcyjnie skonstruowana, latająca maszyna do zabijania. Kiedy go rozdeptujesz nogą to strzela jak suchy żołędź – taki ma pancierz. Dwa szerszenie potrafią wykończyć cały ul. Ustawiają się przy wylocie i po kolei, każdą pszczołę załatwiają. Żądło ma długość co najmniej pół centymetra, kilka ukąszeń i człowiek umiera. Wiesz co, kiedy tam mieszkałem z nimi pod jednym dachem to, słowo, było coś takiego, jak milczące porozumienie między nami, niepisany pakt o nie włożeniu sobie w drogę. Jeśli któraś ze stron przekroczyła ustalone granice to albo uciekała, jak ja, w popłochu z domku, albo ginęła, jak one, złapane na podjadaniu prowiantu.

Rozgadałem się na dobre, wspominając Czerwone Bagno. Domek w którym mieszkałem został kiedyś odkryty przypadkiem przez moich przyjaciół. Stał samotny pośród bagien, niczyj, nie zamieszkanym przez nikogo, z drewnianym stołem i potężnymi ławami wewnątrz. Nie bardzo wiadomo kto go tam postawił, krążą o tym różne fantastyczne legendy, jednakże jest i służy gościom. Mało kto o nim wie, a ci co wiedzą szanują tajemnicę. Byle komu nie mówi się gdzie go szukać. Jawi mi się często przed oczyma, pochylony trochę, na piaszczystej wydymce porośniętej sosenkami. Pamiętam jak uciekałem w nocy przed szerszeniami i musiałem odczekać blisko godzinę zanim się uspokoją, leżałem wtedy na piasku i gapilem się na gwiazdy. Leżałem tylko w koszuli i krótkich spodenkach i nie czułem chłodu. Długo wtedy patrzyłem na niebo, bardzo długo.

Postanowiliśmy z Radkiem zostać jeszcze nad jeziorem. Nie trzeba było zrywać się i pędzić przed siebie, mieliśmy czasu po uszy. Opalaliśmy się i kąpaliśmy na przemian. Woda falowała łagodnie w ramionach otaczającego lasu, przelewała się leniwie popychana przez wiatr. Mogliśmy się wreszcie do syta napić, aż do nieprzyzwoitości, tu nie trzeba było oszczędzać, piło się na wyrost i z nikąd nie ubywało.

Obeszliśmy trochę okoliczny brzeg i zarośla. Okazało się, że nieopodal wpływa z lasu do jeziora niewielka rzeczka. Niosła ze sobą przezroczystą wodę i mnóstwo ryb. Patrzyliśmy jak urzeczzeni. Przy dnie kłębiły się ławice płoci, obok przemykały okonie, w kilku miejscach zauważyłem stojące nieruchomo pstrągi. Ujście strumyczka było głębokie.

Radek wskoczył do wody i mimo, że dno widzieliśmy bardzo wyraźnie, nie mógł złapać gruntu.

– Ze trzy metry jak nie! – krzyczał – spróbuję jeszcze raz! – Nurkował ale bez rezultatu.

Postałem trochę przy ujściu, aż wpadła mi do głowy pewna myśl. Zacząłem uważnie się rozglądać i wreszcie znalazłem czego szukałem. Leszczyna była idealna, dokładnie taka jak pragnąłem. Wybrałem długą smukłą gałąź i ułamałem ją, wziąłem do ręki i machnąłem jak batem. Rozległ się słynny świst. Z niegotowym jeszcze wędziskiem popędziłem do plecaka. Wyciągnąłem przygotowany wcześniej przypon i uwiązałem żyłkę na czubku kija. Teraz przynęta. Z resztki chleba ulepiłem kulę i tak wyposażony wróciłem nad rzeczkę. Radek, kiedy mnie ujrzał uśmiechnął się szeroko. Wskoczył jak oparzony z wody, złapał mnie za ramiona i kręcąc głową, że jak mógł sam na to nie wpaść, pognął w leszczyny.

Poszedłem trochę w górę strumienia, znalazłem wygodne miejsce i zarzuciłem. Radek przybiegł ze swoją wędką i usiadł nieopodal. Spławiki na tak przejrzystej wodzie były zupełnie nie potrzebne, widzieliśmy każdą rybę, każdy kamień. Strużka sunęła niemrawo szemrząc błyszczącą wodą i nie można się było zorientować, czy to rybie łuski odbijają słoneczne refleksy, czy to fale połyskują w złotych promieniach. Koryto rzeczne lśniło jak wysadzone diamentami, rzekłby ktoś, że to złotodajny potok niosący cenny piasek. I w rzeczy samej, bogactwo kłuło w oczy – który to już raz musiałem je zmrużyć. Zakładałem chleb, wędziskiem rzucałem pod drugi brzeg, potem wyciągałem rybę, odczepiałem ją i wypuszczałem z powrotem – niezmacona niczym, oczywista kolejność ruchów. Siedzieliśmy tak z Radkiem kilka godzin, nie czując upływu czasu, zresztą – czas siedział obok i też w zamyśleniu łapał ryby. Słońce jedynie, które jest poza czasem, leniwie przesunęło się po horyzoncie, podejrzewam, że bardziej z przyzwyczajenia niż z obowiązku.

Radek otarł ręką pot z czoła i powiedział.

– Ciężko się oddycha, prawda?

Rozejrzałem się wokół i odłożyłem wędkę. Spojrzeliśmy po sobie i jak na komendę zadarliśmy głowy do góry. Niebo wisiało nad nami tak samo błękitne jak od kilku dni, słońce stało niewinnie nad lasem i wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Mimo to, my, już wiedzieliśmy.

– Idzie burza.

Tutaj nie można było nas oszukać, gdzie indziej może owszem, ale nie tu, nie w tym miejscu. Połów osłabił trochę naszą czujność ale w porę ją odzyskaliśmy. Las, oczywiście, wiedział o wszystkim wcześniej i sposobił się do przyjęcia żywiołu. Trzmielce i chrabąszcze huczały w

poszukiwaniu kryjówek, mrówki, żeby zdążyć z robotą, uwijały się jak szalone, ptaki nawoływały ostrzegawczo, przekazując coraz dalej alarmującą wieść. Najmniej wszystkim przejmowało się oczywiście jezioro, ono zawsze zdąży na ostatnią chwilę, niejeden żeglarz przekonał się o tym na własnej skórze.

Oderwałem żyłkę od wędki, leszczynę cisnąłem w zarośla i popędziłem na brzeg do pozostawionych rzeczy. Niebo było jeszcze jasne na całej szerokości lecz czas naglił – też zerwał się przerażony swym zaniedbaniem i mieliśmy jak w banku, że będzie nadrabiał zaległości – wszystko mogło potoczyć się błyskawicznie. Śpiesząc się pakowaliśmy nasz ruchomy dobytek. Upchnąwszy z grubsza manele i zasypawszy ślad po ognisku, wrzuciliśmy na grzbiet wory i rozglądając się, czy aby coś nie zostało, ruszyliśmy żwawym krokiem – należało znaleźć bezpieczne schronienie.

Kierując się według kompasu, na wschód, zapuściliśmy się w niewielką przesiekę między drzewami. Szliśmy z nadzieją, że spotkamy po drodze paśnik czy ambonę. Pamiętam, że niejedną ulewę przesiedziałem o suchej nitce w takich miejscach i teraz należało skorzystać z tego doświadczenia. Rozglądaliśmy się pilnie mając nadzieję na nagłe objawienie. Z resztą nie szliśmy zupełnie po omacku, skądinąd było wiadomo, że o kilkadziesiąt minut drogi rozciągają się łąki a jeśli szukać ambon i tym podobnych, to właśnie tam. Co chwila zadzierałem głowę, czy nie ściga nas ociemniałe niebo, ale nie, ciągle oczy zlewały się z błękitem. Robiło się coraz bardziej duszno i parno, szło się niewygodnie – gdy trzeba przed kimś uciekać wtedy zmęczenie szybciej chwytą w sieci. Na firmamencie nie łopotała ani jedna chmurka, z rzadka przemykały zapóźnione ptaki i coraz bardziej narastało we mnie to przemożne uczucie, że nieboskłon przybliży się do ziemi, że pęcznieje, przybiera na wadze i jak gigantyczna podeszwa zmiażdży nas niedługo z całą okolicą. Zatrzymaliśmy się na chwilę.

– Słyszysz? – zapytałem.

Daleko za lasami, za wodami rozległ się grzmot. Toczył się po niebie powoli, jak taran oczyszczający przedpole, frunął jak jastrząb ponad zielonymi puszczeniami, błękitnookimi jeziorami i krwiobiegami rzek, leciał ponad łąkami pełnymi rusalek i nad mrocznymi bagnami pośród wrzosowisk, sunął nad wyprężonymi i zapadłymi chałupami, nad krętymi i prostymi drogami, nad małymi i wielkimi sprawami, nad rozbieganą ludzką i nieludzką ciżbą, zawisł na chwilę nad tym wszystkim, płosząc spienione dereszce życia i śmierci, zawisł nad, zanim rozłupał ciszę głuchym pomrukiem. Mityczny potwór, śpiący od tysięcy lat, budził się,

rozsuwając z wielkim hukiem gigantyczne, granitowe ściany swego więzienia.

– Idzie do nas. – powiedział szeptem Radek.

Na drzewach nie poruszał się żaden listek, nie drgało żadne źdźbło, żadna igielka. Przesieka, którą szliśmy zakończyła się ślepo, nie mając więc większego wyboru zagłębiliśmy się w las. Poszycie strzelało pod nogami suchymi patykami, drzewa otaczały nas zwartym szeregiem bezwiednie wskazując drogę. Szliśmy w kierunku najbliższego przejaśnienia jawiącego się w wyobraźni jako skraj łąki. Minęliśmy ostatnie wzniesienie i ku naszemu zdziwieniu drogę zastąpiła rozległa toń jeziora otoczonego puszczą.

– Czart łąci drogę, niedobrze.

Staliśmy nieruchomo, nie bardzo wiedząc co czynić.

– Mam dość, odpocznijmy trochę – z ulgą rzuciłem plecak.

Radek wyciągnął papierosy. Kiedy przypalałem poczułem mokrą od potu koszulę. Ściągnąłem z czoła niebieską chustkę i ocierałem zroszony kark.

– Naprawdę mokro to może być niedługo.

Ryby w jeziorze rzucały się jak oszalałe, roje much i komarów unosiły się nad wodą. Pustej tafli nie marszczyła ani jedna fala, stadko kaczek umykało w przybrzeżne trzciny, gubiąc za sobą strzępki puchu. Raz po raz, wysoko nad nami, rozlegało się przytłumione dudnienie. Patrzyliśmy w otwartą przestrzeń, na naszych oczach dokonywała się niezwykła metamorfoza – jawne zaćmienie słońca, dzień zamieniał się w noc. Niczym dwie armie stanęły na przeciwko siebie czerń i błękit, nad lasami pociemniało, horyzont zasnuł się do połowy niechybną kirą. W przeraźliwej ciszy słychać było tylko bzyk owadów. Stały nad nami dwa nieba, dwa demony, jak dwie przeciwne siły. Czarna falanga z minuty na minutę powiększała stan posiadania, nieodwracalnie nadciągała nawałnica, błękit pozostawał w odwrocie. Wtem, po ciemnej stronie świata błysnęło jaskrawie i w ułamku sekundy mroczny masyw zarysował się tysiącem pęknięć.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – liczyliśmy na dwa głosy. Przy ósemce huknęło. Potem zerwał się silny wiatr.

– Musimy stąd uciekać, jesteśmy na wzniesieniu, drzewa tu za wysokie.

Wyciągnąłem rękę.

– Zaczyna kropić.

Złapaliśmy toboły i biegiem pognaliśmy w dolinkę. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na jezioro i wtedy zobaczyłem pędzącą ścianę deszczu. Dzieliło ją od nas kilkaset metrów, waliła z szumem jak rozpędzony

pociąg. Pierwsze krople ulewy zaczęły głośno stukać w impregnowany brezent plecaków. Biegliśmy zgarbieni, niczym dwaj umykający żołnierze, chyląc głowy przed kulami. Kanonada zbliżała się, burza wytaczała ciężką artylerię. Na tle jednostajnego dudnienia, eksplodowały pojedyncze huki. Wielki Ładowniczy przypalał lonty.

W ostatniej chwili dopadliśmy schronu, wczółgaliśmy się pod niski i rozłożysty świerk. Wokoło królowały niebezpiecznie wysmukłe, masztowe sosny. Nasz korpulentny świerk rósł stosunkowo blisko nich ale, na szczęście, tkwił prawie w samym dole szerokiego jaru, dawało to jakieś szanse ocalenia – byliśmy sporo poniżej linii lasu, nawet jakby głęboko pod powierzchnią. Zdążyliśmy usiąść jeszcze na suchym, żadna z pierwszych kropel na razie tu nie dotarła, wszystko zatrzymało się wyżej, na gęstych gałęziach. Nie tracąc czasu, trzęsącymi z pośpiechu rękami, wyciągaliśmy z plecaków pałatkę, karimatę i wreszcie kurtki, o których niemal zupełnie zapomnieliśmy – swoją wyrwałem z samego dna i wrzuciłem na grzbiet. Przysunęliśmy się z Radkiem do siebie i razem okryliśmy się. Dodatkowo, na zasadzie kolejnego parasola, trzymaliśmy nad głową karimatę. Przywarliśmy przytuleni do pnia i w milczeniu czekaliśmy co będzie dalej.

Najpierw wzmógł się szum, szumiało na dwa fronty – wiatrem i deszczem. Ulewa siekła bezlitośnie nie oszczędzając niczego, natychmiast też wznosił się w górę obłok pary, przyjmując przeróżne, fantasmagoryczne kształty na tle ostatniego, jasnego, skrawka nieba. Gromy zbliżały się, wiodąc ze sobą błyskającą pajęczynę piorunów, wyglądało to jakby ktoś próbował zarzucić z góry na ziemię ognistą sieć. Przestaliśmy odliczać po każdym gromie, nie było sensu, złudzenia, że przejdzie bokiem pierzchły, było oczywiste, że zaraz nadejdzie główne uderzenie. Zaczęło się nam lać na głowy, gałęzie przeciekały i słyszałem jak strużki wody bębnią w baldachim z karimaty.

Woda tworzyła na ściółce kałuże, wypełniając wszelkie dziury i wykroty. Patrzyłem wokół jak las pije, wydając przy tym charakterystyczny syk. Patrzyłem jak zachłystuje się i pławi w życiodajnej wodzie. Teraz jego kolej – myślałem – zbyt długo już susza trzeszczy pod nogami, myśmy napili się do woli z jeziora, nam dość, i myślałem też o odwiecznym relatywizmie, że nie ma tak nigdy, żeby dla wszystkich było dobrze.

Udało mi się wydostać fajki z wewnętrznej kieszeni, lewą ręką przytrzymałem pałatkę, a prawą dobyłem paczkę i wysunąłem dwa papierosy. Radek wyciągnął ustami swojego, potem ja. Wyjąłem zapalki i ostrożnie, żeby się nie zmoczyły, próbowałem przypalić tworząc z dłoni

studzienkę. Zmarnowałem kilka zanim się udało, wreszcie z lubością spowiliśmy się niewilgotnym dymem.

A nad nami szalało. Pioruny zwęszyły nas lecz nie mogąc w gęstwinie nas dostrzec, szyły wściekle na oślep.

– Plecaki! – wrzasnąłem

– Co! Co plecaki?!

– Za dużo przy nich metalu! – darłem się przez burzę – Stelaże i inne śmieci w środku! Może ściągnąć błyskawicę!

Radek zerwał się i zanim zdążyłem się poruszyć, złapał dwa leżące obok, przykryte folią tłumoki i nie bacząc na strugi deszczu, pognał z nimi przed siebie. Rzucił je pod rosnące nieopodal choinki i przemoczo-ny do nitki wrócił pod świerk. W ustach trzymał oklapniętego, mokrego papierosa.

– Przypalę ci drugiego – rzekłem i znowu sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni.

Radek wsunął się z powrotem pod zieloną pelerynę i siedział z mokrymi włosami lepiącymi się do czoła. Cały czas uśmiechał się szeroko.

– I z czego się tak cieszysz? – zapytałem dając mu fajkę odpaloną od mojej.

– Bo pierwszy zerwałem się.

W tym momencie huknęło. Grzmotnęło nie dalej jak kilkaset metrów od nas. Słyszałem skrzypnięcie drzewa niczym żaloszny jęk. Dzwoniło w uszach i jednocześnie, co wydawało się niemożliwe, bo byliśmy pewni, że bardziej już padać nie może, ulewa wzmogła się. Takiego deszczu jak żyję nie pamiętam. Na otwartej przestrzeni falował istny potop, w powietrzu z powodzeniem mogły pływać ryby. Mimo, że świerkowy parasol zatrzymywał trochę nawałnicę, to czuliśmy jakby polewano nas ostrym strumieniem z ogrodniczego węża. Dookoła kwitły fontanny i kaskady. Trzymaliśmy nasz okap tak, żeby dało się palić papierosy, niewiele to jednak pomagało, widziałem świat przez pryzmat spadających kropel a odpryski wody co rusz godziły w twarz.

Spieniony żywioł ogarnął okolicę. Rzucił się z furią na las i ziemię, złapał za gardło wijące się drzewa i trząśł nimi, pragnąc je wyrwać z korzeniami. Sklepienie zarysowane od błyskawic waliło się z hukiem, pioruny biły o włos, nie mogąc nas dopaść, wbijały swe błyszczące widły na oślep, dziobały na chybił trafił. Towarzyszył temu ogłuszający, dławiący ryk, co chwila ozywał się grom, po którym myślałem, że już po nas.

Nagle zobaczyłem jak przede mną, nie dalej niż trzydzieści metrów, po wysmukłej sośnie zsunął się piorun. Owinął się wokół niej jak olbrzymi błuszcz, albo raczej jak wąż dusiciel, i w ułamku sekundy zniknął w ziemi. W tym samym momencie huknęło tak, że z przerażenia wypadł

mi papieros z ust. Ogłuchłem. Przelykałem ślinę, mrugałem oczami i nic, cisza absolutna. Patrzyłem na skulonego Radka, pokazującego coś na własne uszy, patrzyłem na leżący pod nogami rozmoczony pet, na spadające na pałatkę świerkowe igły i nie słyszałem ani jednego dźwięku, poczułem natomiast, unoszący się w powietrzu intensywny zapach ozonu.

Po tym uderzeniu zaciągnęły się szczelnie kotary deszczu, kryjąc wzburzone, najeżone włócznie igrzysko. Widziałem tylko Radka, pień, kilka zwisających gałęzi i tysiące kropel. Scena główna pozostała niedostępna i tylko oczami wyobraźni widziałem rozedrganą arenę na której dokonywało się dzieło gniewu niebios. Czasem, poprzez spowijające nas mleko, błyskał złośliwy uśmiech pioruna.

Siedziałem nieporuszony i pomyślałem wtedy, że może znalazłem się nie w sercu potężnej, letniej burzy ale wewnątrz niepojętego zjawiska, przesuwającego rzeczywistość w jakiś inny, nieznanym wymiar. Co będzie kiedy odsłoni się ów gęsty woal, co ujrzę, czy znowu będzie las, drzewa, choinki, niebo, ptaki? Nie wiem ile czasu siedziałem pogrążony w malignie, bojąc się, że jedyne co pozostanie ze znanego mi świata to niewielka wysepka ze mną, Radkiem i wiernym świerkiem. Powoli odzyskiwałem słuch. Najpierw w ciszę, do której zdążyłem się już przyzwyczaić, zaczął wciskać się coraz natarczywszy pisk, który wreszcie przerodził się w znany szum. To dobrze. Zatem z mojego świata coś jeszcze pozostanie – dźwięk. Wracałem do normy. Słyszałem coraz więcej, do moich uszu zaczęło dochodzić dudnienie i grzmoty. Otworzyłem usta i zamiast szczypania w rękę, powiedziałem głośno.

– Marcin Żyzny.

Byłem przy zdrowych zmysłach. Dopiero teraz zauważyłem, że jestem kompletnie mokry. Woda ciekła po szyi, po plecach i karku, smagany wiatrem deszcz zacinał z każdej strony. Uświadomiłem sobie, że prawą ręką cały czas kurczowo trzymam karimatę, do tego stopnia, że ręka całkiem zdrętwiała. Pomyślałem o papierosach, czy są na tyle suche, że dało by się zapalić. Niestety. W kieszeni znalazłem ociekającą, papierowo–tytoniową masę. Odwróciłem się i ujrzałem przed sobą wyciągniętą dłoń, podającą mi zapalonego mocnego.

– Ale grzmotnęło – kręcił głową Radek.

– Mnie jeszcze w uszach dzwoni.

– Miałem nosa, żeby przełożyć fajki do folii. Nie wiem co mnie podkusiło.

– To się nazywa przecucie.

Błyskało coraz rzadziej, grzmoty wydawały się cichsze. Mgła powoli zaczęła ustępować odsłaniając pobożowisko. Las, o dziwo, stał na swoim miejscu. Odetchnąłem z ulgą.

Łało zapamiętałe, bez przerwy, lecz czuło się, że główne uderzenie jest już za nami. Sosenka, wokół której owinął się piorun, trwała niezmiennie na przeciwko, patrząc dumnie w twarz burzy. Mrużąc oczy dostrzegłem na jej potężnym pniu szeroką, osmaloną bliznę. Serce mnie zakłuło jakby to mnie przeżegnał piorun. Najważniejsze, że nas oszczędzono, mnie i Ciebie Sosenko. Nikt nas już nie pokona. Z każdą chwilą, z każdym dniem rośniemy w siłę.

– Burza odchodzi. – wyszeptał Radek.

Mimowolnie podniosłem oczy i poszukałem wzrokiem, wlokącej się między drzewami, kity umykającego potwora.

Straciliśmy rachubę czasu. Nie miałem pojęcia ile pozostało do wieczora. Siedzieliśmy w ciemnościach, kombinując czy zapadł już zmrok, czy ciemność to tylko zasnułe chmurami niebo. Zrobiło się chłodno, a my zmoknięci jak kury dygotaliśmy z zimna. Czekaliśmy, żeby przestało padać na tyle, aby móc pójść na poszukiwanie suchego schronienia.

– Wiesz – powiedziałem – czasami myślę o zwątpieniu, o zwątpieniu we wszystko, że nic nie ma sensu, nic a nic. Nachodzi mnie to niespodziewanie. I wiesz, zbadałem to, zwątpienie dopada mnie, gdy teoretycznie wszystko jest w porządku. Z boku patrząc nic nie zgrzyta, idzie jak po maśle, a tu nagle taki stan. Pytam się: skąd mi to się bierze, dlaczego?

Kiedyś żadnych zwątpień nie miałem. Wiedziałem o co chodzi. Wiedziałem na czym polega mechanizm, owszem, zwariowany, pomyłony ale rozumiałem go. Wyrwany ze snu, w środku nocy, potrafiłem wszystko wyjaśnić. Lecz minęła mi ta jasność, zupełnie jakbym dowiedział się, że to słońce wiruje wokół ziemi a nie odwrotnie. I nagle wszystko leży. Ja leżę, rozłożony na łopatki i nie wiem nic, nie rozumiem nic, nie jestem stąd, obco i nieznajomo wszędzie. Boję się. Płakać mi się chce, nie, wyć mi się chce na całe gardło. I to wtedy właśnie gdy, teoretycznie, wszystko jest w porządku. Bo gdy nie jest w porządku to mam o czym myśleć. A jak nie mam o czym myśleć, to jakiś zły demon za mnie myśli. Ja to nie ja.

– A teraz?

– Teraz? Stary, teraz, to ja jestem poza światem.

Wydało nam się, że deszcz jakby opadł z sił. Dźwignęliśmy się na zeszywniałe nogi i wypelziliśmy spod gałęzi. Łało przeciętnie. Warunki

poprawiły się na tyle, że można było ruszyć. Rozprostowałem kości robiąc kilka przysiadów.

– Marcin, plecaki są bardziej suche od nas.

Okazało się, że przykryte folią, poczciwe wory wytrzymały nawałnicę, nie ściągnęły żadnego pioruna i przechowały nieco suchych rzeczy. Zanim zarzuciłem swój na plecy, opatuliłem go dodatkowo. Miałem przecież ze sobą nieść bezcenny skarb – parę ciepłych koszul.

Wygramoliliśmy się z jaru. Wichura nie poczyniła większych szkód, gdzieniegdzie tylko leżały poodłamywane gałęzie. W kilku miejscach zobaczyłem szramy po błyskawicach. Na leśnych ścieżkach tworzyły się strumienie, płynęły zgodnie w tych samych kierunkach, tworząc w zagłębieniach rozległe jeziorka. Szliśmy pod prąd. Teren podnosił się nieco i wyprowadzał nas w gąszcz jagodzin. Dotraliśmy w pewnym momencie do szerszego duktu. Na drogę wyszedłem zdziwiony bo zdążyłem już zapomnieć jak coś takiego wygląda. Po mniej więcej godzinie zatrzymaliśmy się. Zimno przestało dawać solidnie we znaki, bo choć trochę rozgrzaliśmy się marszem.

Zatrzymaliśmy się obok płotu z żerdzi. Płot chronił przed zwierzętami leśną szkółkę, porośniętą zarówno młodymi drzewkami jak i czymś, co przypominało rzepę. Najważniejsze jednak kryło się w głębi poletka. Aż krzyknęliśmy z radości. Na granicy drzewek i rzepy stał niewielki, przypominający budę, barak.

– O rany, żeby tylko nie był zamknięty na kłódkę.

– Trudno, zerwiemy wtedy skobel.

Przeleźliśmy przez płot i dopadliśmy budy. Po dwu przeciwnych stronach miała dwa niewielkie okienka, wspierałem się na palce, żeby zajrzeć do środka.

– Ciemno, nic nie widać.

Przyjrzeliliśmy się drzwiom. Trzymały się na zardzewiałej kłódce. Niewiele myśląc, Radek pociągnął z całej siły i ustąpiły natychmiast.

– To w ogóle nie jest zamknięte. Kłódka jest zepsuta – pokazała ułamaną zapadkę – ktoś przełożył tylko dla pucu.

Otworzyliśmy ostrożnie drzwi. W twarz uderzyło mnie ciepłe, suche powietrze. Wewnątrz leżało mnóstwo rupieci, buda widać służyła jako magazyn. Zaczęliśmy uprzątać chatkę. Wywaliliśmy na dwór puste worki, gumowego węża, kilka par grabi i parę innych rzeczy. Uzyskaliśmy w ten sposób sporo wolnego miejsca. Wreszcie mogliśmy zrzucić z siebie mokre łachy i przebrać się. Na dwóch gwoździach pod sufitem, przyczepiłem linkę i powiesiliśmy na niej zmoczone ciuchy. Założyłem na siebie co miałem suchego i zacząłem gmerać w plecaku w poszukiwaniu maszynki.

– Mamy pół manierki wody.

– Dobrze, że chociaż tyle.

Wyciągnąłem rosół, najlepszy jaki mieliśmy, naszykowany na specjalne okazje. Zanim wstawiłem wrzątek, przykucnęliśmy na chwilę nad płomyczkiem i grzaliśmy zziębnięte dłonie. Stukanie kropel w dach wyraźnie słabło.

– Zapalę świeczkę, ciemno tu.

– Myślisz, że słońce już zaszło?

– Niewykлучzone.

W świetle świecy wewnątrz budy zrobiło się jeszcze przytulniejsze. Uświadomiłem sobie, że ciasny i brudny barak przeobraziliśmy nagle w coś, o czym wiele zamożnych murów jedynie marzy. Miały czego zazdrościć luksusowe wille. Niejedna pragnęła takiego gorąca niewielkiego płomienia, niejedna chciała takich lokatorów złaknionych ogniska, niejeden pałac, choć przez chwilę, chciał być zwykłym domem. A starej budzie poszczęściło się. Ugościła nas hojnie wszystkim co miała: w miarę szczelnym dachem, kawałkiem suchej podłogi i ścianami zatrzymującymi chłód.

Na dworze chyba przestało padać bo uderzenia w dach straciły regularny rytm. Tak kapie z drzew. Rozgrzewaliśmy się popijając gorący rosół i napawaliśmy się zaciszem naszego schronienia.

– No to zostaliśmy bez wody. Do jutra musimy wytrzymać.

– Chyba, że wystawię menażkę na dwór. Może w nocy napada?

Wziąłem garnek i uchyliłem drzwi. Budka nasza stała na wzniesieniu i roztaczał się stąd całkiem niezły widok, akurat na zachód. Daleko ponad lasem ujrzałem skrawek jasnego nieba. Zawołałem Radka i patrzyliśmy. Zrazu nieśmiało wdzierał się niewielkim klinem w ciemną zasłonę, by wreszcie zdecydowanie rozpruć ją na całej linii i pokryć brzegi różowym lukrem. Lukrowane niebo. Czekałem w napięciu na słońce. Dziura w chmurnej oponie rosła, lukier zmieniał kolory i nagle buchnęło. Zalało promieniami nasze wpatrzone w niebo oczy. Gapiliśmy się jak w ołtarz, przez chwilę, potem wyskoczyliśmy przed dom i zaczęliśmy skakać z radości.

– Słońce wyszło!

– Wysoko jest! Wysoko!

– Będzie pogoda! Jeszcze z godzina do zmroku jak nic!

– Tęcza! Marcin zobacz, tęcza!

– Tęcza!!

Wyłoniła się z nicości jak zjawa. Przerzuciła się mostem nad ziemią, umożliwiając szybki przerzut do raj. Nie skorzystaliśmy z okazji. Ja wolałem popatrzeć. Na naszych oczach niewidzialny malarz podjaskra-

wiał kolory, skończywszy zaś robotę, podpisał się zamaszystym strastusem. Tęcza trwała wyniośle jak totem zwycięstwa. Pod jej przesłami sunął sznur dzikich kaczek.

Pachniało lasem do szaleństwa, unosił się w górę rzeński zapach wilgotnej puszczy. Między drzewami nieśmiało wołała wilga, denerwując snującą się wieczorną ciszę. Powietrze odpoczywało po burzy. Oddychało się wyśmienicie. Na kupie wywalonych przed budę rzeczy wylądowała sójka i bez odrobiny strachu zaczęła myszkować. Rude pnie mieniły odbłaski powstałe z kropel. Rozejrzałem się w prawo i w lewo, popatrzyłem przed siebie i do tyłu. Przyjrzałem się uważnie każdemu szczegółowi i wtedy do mnie dotarło. Tupnęło mnie w łeb po raz kolejny, z całą oczywistością odkrytej prawdy – puszcza stała obok a ja byłem jej częścią.

Wszystko wracało na swoje miejsce, zupełnie jak na filmie puszczo-nyim od końca, ustępowały czarne chmury, drzewa przestawały się kołysać, spokój wracał do serc. Między kałużami skakały żaby, po mokrych konarach gonily się wiewiórki.

- Zobacz one już nie pamiętają – pokazałem na zwierzątka.
- Tego im zazdrościsz. Ja tak nie potrafię.
- Potrafisz.
- No chyba, że w tej chwili.

Roześmialiśmy się głośno patrząc na nasze umęczone gęby.



Wsunęliśmy się w suche, dzięki Bogu, śpiwory. Wcześniej, zanim zdmuchnąłem świeczkę, zapamiętałem drogę do leża i włożyłem doń już po omacku. W smolistej ciemności budy, niczym w grobowcu, odezwał się poważny głos Radka.

- Wiesz, że jutro wracamy?
- Wiem.



Śniło mi się, że była noc. Marcowa, przedwiosenna noc. I był to ten szczególny przejściowy moment pomiędzy chłodem niepozwalającym chodzić bez czapki a porą ciepłą, gwarantującą wieczorne, beztrudne spacerowanie. Stałem w miejscu gdzie roztaczał się szeroki, panoramiczny widok na śpiące miasto. Nie był to piękny widok, raczej smutno-refleksyjny. Nie ma bowiem, tak naprawdę, pięknych miast. Miasto to przynębiający pejzaż ludzkiego dziedzictwa.

Stałem i patrzyłem na morze świateł. Wielki cmentarz w dniu zadusznym, na którym właśnie dogasają świeczki. Do świtu jeszcze daleko – pomyślałem. Co ja tutaj robię – pomyślałem też zaraz, ale było to bardziej jak przypomnienie myśli co od dawna tli się w głowie. Z dali dobiegło ciche zrazu dudnienie. To pociąg. Słyszałem go coraz wyraźniej. Zaraz przejedzie tuż koło mnie. Gwizd lokomotywy przeświecił ciemność myśli. Wagony dopadły moją nocną samotność i zawróciły mi w głowie. Kolej to chyba piąty żywioł. Góra pędzącej stali, potęga ruchu.

Skład zwalniał przed rozjazdem. Zbiegłem z nasypu, na którym stałem i popędziłem wzdłuż torów. Biegłem co tchu aż zrównałem się z wagonem. Stara, pocziwa węglarka jakich pełno. Chwyciłem się mocno za stalową poręcz, podciągnąłem i... noga na stopień. Zasuwane drzwi były otwarte, więc bez problemu wlażem do środka. Usiadłem zdyszany wystawiając nogi na zewnątrz. Jechałem.



Ranek zastukał nieodmknętymi drzwiami chatki. Podniosłem ciężkie oko i próbowałem skojarzyć fakty i zlokalizować topografię. Trudno było. W końcu dotarło do mnie, że tkwię w ciasnej, zagrożonej do granic, budzie. Wczoraj wydawała się większa. Ze wszystkich stron, przez szpary w deskach, wciskały się promienie. Odsłaniały drgający w powietrzu kurz i sondowały wnętrza wyłaniając szczegóły. Któraś ze złotych strzał wbiła się w rozwieszoną pałatkę. Trzeba by ją wyrzucić na słońce – pomyślałem – pewnie jest jeszcze mokra. Wstałem i lawirując między porozrzucanymi bambetlami doszedłem do wyjścia. Kopnąłem nogą latające drzwi i otworzyłem je szeroko. W tym samym momencie musiałem zamknąć oczy. Eksplozja jasności oślepiła mnie tak, że straciłem równowagę. Przytrzymałem się framugi i odwróciłem twarz.

– Zgaś to światło! – wrzasnęło spod drugiego śpiwora.

Powoli otwierałem oczy. Kiedy przyzwyczyły się trochę i mogłem normalnie patrzeć, rozejrzałem się i nie mogłem uwierzyć. Dałbym sobie rękę uciąć, że miejsce to wczoraj wyglądało zupełnie inaczej. Zacząłem się przez chwilę głowić, co tak naprawdę różni wczoraj od dziś, ale powiedzieć, dziwna rzecz, trudno było. Fakt, po potopie nie zostało śladu, żadnych kałuż, nic, no może trochę wilgoci na ziemi, ale reszta? Oprócz słonecznej, płonącej tarczy i świeżego, nowego błękitu, właściwie było tak samo. Tak samo a zupełnie inaczej.

Medytując nad zjawiskiem, rozwiesiłem na opasających poletko żerdziach, niedosuszone, wczorajsze ciuchy. Patrząc na wysłużone, wierne tkaniny, czasem uśmiechałem się, przypominając sobie różne hi-

storie. Na przykład wtedy, kiedy kupowałem za ciężko zarobione pieniądze kurtkę. Przebierałem w kapotach jak w ulegalkach, zanim znalazłem odpowiednią i kiedy przymierzałem, pani w sklepie szepnęła mi na ucho, żeby nie słyszała jej szefowa, że kurtka jest nie modna i żebym wybrał inną. Proszę panią. – powiedziałem do niej też szeptem i też na ucho – Ja kupuję bardziej z powodów termicznych niż ideologicznych – i wyszedłem zostawiając babkę w stanie osłupienia.

Na oko musiało być kilka ładnych godzin po wschodzie słońca. Chociaż na oko, jak mówią, to chłop umarł w szpitalu, więc z czystej ciekawości wzięłem busole, kawałek patyka i wypróbowaną, traperską metodą sprawdziłem dokładnie. Jednak wykończyła nas wczorajsza apokalipsa – spaliśmy jak susły.

– Radek! Wstawaj! Dziesiąta na zegarze!

Zaszeleściło, zachrobotało i odskoczyły kopnięte od tyłu drzwi. Widziałem dokładnie całą, wiernie powtórzoną procedurę: spojrzenie, zawrót głowy, odzyskiwanie wzroku.

– Nie martw się, ja też z tego niewiele rozumiem. – wyprzedziłem pytanie o tajemne zmiany i tym samym zamknąłem Radkowi usta.

Resztę poranka spędziliśmy na zacieraniu śladów. Po drobnym posiłku, niestety bez łyka wody – w nocy nie spadła ani jedna kropla – wzięliśmy się za sprzątanie. Wszystkie, wyrzucone przed barak rzeczy z powrotem, ładnie poukładaliśmy w środku. Zapięliśmy drzwi popsutą kłódką i wycofaliśmy się pod płot. Oczekaliśmy jeszcze, zanim ubrania nie podeschną do rozsądnego poziomu i w końcu, ruszyliśmy w las.

Idąc doświadczyłem dziwnego uczucia. Miałem wrażenie, że znam okolicę, że kiedyś, dawno temu, byłem tutaj, i że wszystko co w tej chwili, raz już przeżywałem. Każdy ruch, spojrzenie, każdy krok, jakbym stawał ponownie, tak samo jak kiedyś. Z bijącym sercem czekałem co wynurzy się zza zakrętu, czułem, że wiem.

– No to mamy picie! – Radek zbiegł pod mostek do strumienia. – Chodź, czemu nie idziesz?

Oparłem się mocno o barierkę i kręciłem z niedowierzaniem głową. W pewnym momencie przestałem kiwać z niedowierzaniem a zacząłem kiwać ze zrozumieniem. Jak mogłem od razu na to nie wpaść – pomyślałem – jasne, że znam to wszystko, zasuwam przecież po wyśnionych krainach.

A potem był długi, wtopiony w krajobraz, pokorny, przerywany drobnymi postojami marsz. Trafiliśmy na solidną, ubitą drogę i szliśmy całą szerokością. Niósł się do nieba wzbity, wędrowny pył.

Pierwszy usłyszał warkot Radek. Przyłożył palec do ust i zaczął nasłuchiwać.

– To chyba samochód – powiedział niepewnie.

– Tutaj? Skąd by się wziął?

Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni i na wszelki wypadek stanęliśmy po przeciwnych stronach gościńca. Rzeczywiście. Warkot zbliżał się, rósł i nagle na drodze pojawił się sfatygowany Żuk. Zamachaliśmy energicznie i wóz zaczął się zatrzymywać. Mieliśmy szczęście – niestety, dobrze wiem jak trudno jest w dzisiejszych czasach złapać stopa. Podbiegliśmy do szoferki. Drzwi otworzył facet mniej więcej koło pięćdziesiątki.

– Dzień dobry! Jedzie pan może do miasta?

– Jadę. Wsiadajcie do tyłu.

– Dziękujemy.

Wskoczyłem na budę pierwszy. Zobaczyłem wewnątrz kilka plastikowych beczek. Podwinąłem plandekę i odebrałem od Radka plecaki. Usadowiliśmy się potem tuż za kierowcą, na niewielkiej ławeczce.

– Panowie turyści? – zapytał a właściwie stwierdził szofer nie odrywając oczu od drogi.

– Tak. W pewnym sensie.

– Ale musimy niestety już wracać.

Samochód podskakiwał na wybojach trzęsąc niemiłosiernie.

– Można u pana zapalić?

– A można, palcie.

– Proszę – poczęstowałem kierowcę.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu ćmiąc papierochy.

– Daleko będzie stąd do miasta?

– Trzydzieści kilometrów, może więcej.

– A to rzeczywiście sporo.

– Po drodze zajedziemy do wsi, to ja zwałę te beczki.

– A pan skąd jedzie?

– Z ośrodka.

– Tak? Jest tu jakiś ośrodek?

– To pan nie wie? Tu jest taki ośrodek, że ho! Rządowy. Grube ryby tu przyjeżdżają.

– Naprawdę? Nic nie słyszeliśmy. – Radek puścił do mnie oko, bo tak naprawdę wiedzieliśmy o tym doskonale. Facet mógł się wreszcie rozgadać a my odpocząć.

– Tam to mają pałace i to za mało powiedziane, – mówił kierowca – willa obok willi, piętrowe, parterowe, do wyboru. Siostra sprzątała u nich przez sezon to mówiła, że w każdym domu jest kominek, łazienki w kafelkach, pełen luksus. Do tego telewizor, video, lodówka. Tam im

żarcie donoszą pod sam nos i to jakie! Wiem coś o tym. Ja, panie, jeżdżę do nich i zlewki dla świń zabieram to widzę. U mnie w święta tak się nie je. Wszystko ogrodzone, wojsko na bramie stoi, patrol wysyła. Tak panie.

Patrzyłem na umykające drzewa. Migwały za szybą a ja łapałem je jeszcze drugim spojrzeniem oglądając się za siebie. Za autem wzbijał się kurz i wznosił się przypominając postrzępioną mgłę. Bez przerwy jechaliśmy przez las. Wychylałem się i zaglądałem zazdrośnie w głąb. Widziałem wtedy siebie. Szedłem gdzieś między drzewami taszcząc na plecach olbrzymi plecak.

– Tam to mają, panie, jak w raj. – ciągnął kierowca – Ryby mogą łapać ile chcą. Ich wola. Polowania, zabawy, przez cały rok. Szczególnie jak przyjadą jakie figury z zagranicy. Zimą ogrzewają, latem też, jak jest potrzeba. Kąpać się komuś chce a tu pada deszcz, nie ma sprawy, jest kryty basen, jeden, drugi, trzeci. Można też do sauny iść. Mają też taki wielki trawnik, co to się na nim gra w tego, no, taką piłeczką ...

– W golfa.

– Taak. Tacy to se pożyją, nie?

– Nie – powiedziałem cicho do siebie.

Po obu stronach drogi puszcza leżała odłogiem. Nikogo, nikogutko w zasięgu. Przejeżdżając ploszyliśmy błakającą się samopas ciszę. Minęliśmy zwalone drzewo. Leżało wzdłuż drogi podkurczywszy rozpaczliwie gałęzie.

– To po tej wczorajszej burzy. O nas tylko zahaczyła. Przeszła podobno gdzieś daleko nad lasem. I dobrze panie, bo jakby tak nad wsią, to i diabeł nie pomoże.. – kręcił głową kierowca – Rano w radiu mówili, że gdzieś tam dachy pozrywało, że paliło się od pioruna. Nie daj Boże zabłądzić wtedy w lesie.

– W lesie nie da się zabłądzić, w lesie można się tylko zapomnieć – pomyślałem znowu dla siebie.

Wyjechaliśmy na otwarte pole. W oddali majaczyło kilka domostw. Po kilku minutach zajechaliśmy na podwórko jednej z chałup. Zawinęliśmy się z Radkiem i raz dwa pomogliśmy ściągnąć beczki z pomyjami. Do pomocy przyszedł jeszcze jeden chłop, który okazało się, też miał zabrać się z nami do miasta. Wszedł potem do szoferki i trzasnęła drzwiami.

Ruszyliśmy znowu. Jechaliśmy teraz szybciej bo wóz był lżejszy i droga równiejsza. Dwóch znajomych pytlowało z przodu bez przerwy. Nie musieliśmy uczestniczyć w tym dialogu, mieliśmy więc spokój. Podwinęta przeze mnie plandekę ktoś odwinął. Nie chciało się nam jej z powrotem mocować, toteż jechaliśmy w półmroku.

Zmęczenie przymknęło mi powieki. Zapadłem w siebie pochylając głowę. Od razu zobaczyłem lazur. To musiał być ranek. Lazur falował bez zmarszczki na całej powierzchni jak nie do końca ścięta galareta. Stałem nad brzegiem trzymając w ręku kamień. Cisnąłem z rozmachem i patrzyłem jak po bezbłędnie przewidzianej trajektorii wpada do wody i załamuje idealny porządek fali, wzniecając rozchodzące się promieniście kręgi. Daleko na środku jeziora płynęły łabędzie. Kręciły w pełnym majestacie pięknymi szyjami, przypuszczając, że w każdej chwili ktoś może je oglądać. Po drugiej stronie las wygrzewał się na słońcu, a gdy upał za bardzo go morzył, schodził do wody i moczył wśród trzciny stopy. Powoli zanurzałem się w toni. Wchodziłem wyprostowany patrząc w niebo. Nie czułem chłodu. Z każdym krokiem robiło się głębiej.



– Marcin, obudź się. Wsiadamy.

Ocknąłem się zdziwiony. Radek podsuwał do wyjścia toboły.

– Szybciej panowie, nie mogę tu stać. Jest zakaz.

Otumaniony i rozespany podałem Radkowi po kolei dwa plecaki. Potem zeskoczyłem z Żuka prosto na chodnik.

– Do widzenia ! Dziękujemy – Radek machnął kierowcy na pożegnanie. Sekundę później samochód odjechał.

Dopiero teraz rozejrzałem się wokół i zrozumiałem, że facet wysadził nas w samym centrum, byliśmy pod dworcem głównym PKP. Uderzył mnie w uszy wielki, niezrozumiały hałas. Skuliłem się w sobie i odruchowo cofnąłem na trawnik. Staliśmy bezradnie, gapiąc się na swoje leśne, utyłane ciuchy i nie bardzo wiedzieliśmy co robić. Powoli jednak do nas dochodziło. Byliśmy znowu w mieście.

